



Maureen Child



Hotel Fantazja

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Caitlyn Monroe zapukała raz, po czym weszła do jaskini lwa.

Była przygotowana, jak każdy dobry treser, na to, co może tam na nią czekać. Wściekła bestia na łańcuchu, czyhająca tylko na to, żeby coś pożreć? Być może. Mały kotek? Raczej nie. W ciągu tych trzech lat pracy z Jeffersonem Lyonem nauczyła się, że był on raczej spięty i agresywny niż przyjazny.

Jefferson miał w zwyczaju robić wszystko po swojemu. Nie uznawał niczyich rad. To go czyniło z jednej strony skutecznym biznesmenem, z drugiej zaś wyjątkowo stresującym szefem.

Była jednak do tego przyzwyczajona. Przywykła do spełniania jego rozkazów. A po wstrząsie, jaki przeżyła podczas weekendu, pragnęła powrócić do normalności. Dzień jak co dzień. Rutyna. Doceniała fakt, że zna Jeffersona Lyona. Wiedziała, czego się spodziewać i nic jej nie mogło zaskoczyć.

Nie, dziękuję, pomyślała. Po sobotniej nocy miała już dosyć.

Szef podniósł wzrok, gdy wchodziła. Skorzystała z okazji, by mu się przyjrzeć. Miał mocną, kwadratowo zarysowaną szczękę, błękitne oczy, które były w stanie dostrzec każdą próbę oszustwa, i stylową fryzurę. Współczesny pirat, w sprawach biznesu był bezwzględny. Większość osób, które zatrudniał, starała się nie wchodzić mu w drogę. Wystarczył odgłos jego kroków na korytarzu, by wszyscy pierzchali. Miał opinię twardego faceta. Nie do końca zresztą prawdziwą. Nie dawał się łatwo wykiwać, żądał i oczekiwał perfekcji.

Jak dotąd Caitlyn się udawało mu ją zapewnić. Sprawnie zajmowała się biurem, a także większą częścią jego życia. Jako osobista asystentka Jeffersona Lyona musiała się przeciwstawić jego dominującej osobowości. Zanim przyszła tu do pracy, zmieniał asystentów co kilka miesięcy. Ale Caitlyn była najmłodszą z piątki rodzeństwa i umiała się postawić.

- Co to ma być? - wypalił, patrząc na stos akt piętrzący się na jego mahoniowym biurku.

Wszystko po staremu, pomyślała, rozglądając się po pokoju. Na ciemnoniebieskich ścianach wisiały wizerunki statków należących do floty Lyonsa. Przed wyłączonym gazowym kominkiem stały naprzeciw siebie dwie miękkie skórzane kanapy. Dwa okna od podłogi do sufitu za biurkiem Jeffersona zapewniały wspaniałą widok na port.

- Również cię witam - odpowiedziała, niezrażona jego złym humorem. Miała w końcu dużo czasu, żeby się do niego przyzwyczaić.

Kiedy zaczynała u niego pracować, naiwnie myślała, że będąc jego asystentką, stanie się dla niego kimś w rodzaju partnera. Że ich relacje w pracy nie będą polegały wyłącznie na wykonywaniu przez nią jego poleceń. W niedługim czasie pozbyła się jednak złudzeń.

Jefferson nie miał partnerów. Miał pracowników. Tysiące. A Caitlyn była po prostu jedną z tego tłumu. Niemniej była to dobra praca, a ona się w niej sprawdzała. Poza tym wiedziała, że bez niej by zginął, nawet jeżeli on sam nie zdawał sobie z tego sprawy.

Przechodząc przez pokój, położyła jeszcze jedną kartkę na tym stosie i czekała, aż on ją podniesie i przeczyta.

- Twoi prawnicy przefaksowali te dokumenty. Mówią, że oferta wygląda nieźle.

Znów na nią spojrział i dostrzegła błysk zainteresowania w jego oku.

- To ja decyduję, co jest niezłą ofertą - przypomniał jej.

- Oczywiście. - Przygryzła wargę, powstrzymując się od stwierdzenia, że jeżeli nie zależało mu na opinii prawników, to niepotrzebnie o nią prosił.

Jefferson Lyon sam ustanawiał reguły. Mógł, co prawda, wysłuchać paru opinii, ale jeżeli się z nimi nie zgadzał, wtedy robił to, co sam uważał za najlepsze.

Stukała stopą w czarnej szpilce w miękki dywan o morskim kolorze. Czekając, patrzyła na morze rozciągające się za plecami Jeffersona i wydawało jej się, że to trwa wieczność. Statki pasażerskie mijały się z kontenerowcami w zatłoczonym porcie. Kilka kontenerowców miało na burcie dumnie

wymalowany znak stylizowanego czerwonego lwa, czyli logo firmy spedycyjnej Lyona. Holowniki wyprowadzały bezpiecznie trzykrotnie większe od siebie statki na pełne morze. Ruch gęstniał na moście Vincenta Thomasa, a promienie słońca odbijały się w wodzie, połyskując jak diamenty.

Siedziba firmy Lyon Shipping znajdowała się w San Pedro, w Kalifornii, w samym środku jednego z największych portów w kraju. Jefferson, gdyby się tylko odwrócił, mógłby patrzeć na swoje statki wpływające i wypływające z portu. Zobaczyłby codzienną pracę w dokach, ciężkie dźwigi, ludzi pracujących przy rozładunku i załadunku, regularny rytm pracy portu, który czynił z niego jednego z najbogatszych ludzi świata.

Ale Jefferson nie należał do tych, którzy by się odwracali, żeby podziwiać widoki. Większość czasu spędzał plecami do okna, ze wzrokiem utkwionym w papierach.

- Czy coś jeszcze? - spytał, gdy wciąż przed nim stała.

Napotkała jego wzrok i poczuła znany dreszcz. Natychmiast przypomniała jej się rozmowa, jaką przeprowadziła w sobotni wieczór z Peterem, swoim, obecnie już byłym, narzeczonym.

- Ty nie chcesz za mnie wyjść, Cait - mówił, kręcąc głową i wyciągając portfel. Wyjął dwadzieścia dolarów, rzucił na stół, żeby zapłacić za ich drinki, i znów na nią spojrzał.

- To nie we mnie jesteś zakochana.

Caitlyn spojrzała na niego, jakby właśnie wyrosła mu druga głowa.

- Słucham? Noszę pierścionek od ciebie. - Pomachała mu przed nosem, sprawdzając, czy nie zapomniał o dwukaratowym klejnocie, który wręczył jej pół roku temu. - Z kim twoim zdaniem miałabym wziąć ślub?

Peter westchnął.

- To chyba oczywiste. Za każdym razem, kiedy się spotykamy, mówisz tylko o Jeffersonie Lyonie. O tym, co zrobił, co powiedział, co planuje.

Naprawdę tak było? Nie zauważyła tego. A nawet jeżeli, no to co?

- Ty też mówisz o swoim szefie - przypomniała mu zdenerwowana. - To się właśnie nazywa rozmowa.

- To nie jest tylko rozmowa. To chodzi o niego, o Lyona.

- W jakim sensie?

- Jesteś w nim zakochana.

- Co? - Wysokość głosu Caitlyn zbliżyła się do częstotliwości słyszalnej tylko przez psy. - Zwariowałaś.

- Nie wydaje mi się. I nie zamierzam się żenić z kimś, kto tak naprawdę chce być z kimś innym.

- Dobrze - skapitulowała Caitlyn, szarpiąc się z pierścionkiem. W końcu zdjęła go i położyła na stoliku. - Proszę. Nie chcesz się ze mną żenić? Zabieraj swój pierścionek. Ale nie zwalaj tego na mnie.

- Chyba mnie nie rozumiesz, prawda? - Pokręcił głową. - Nawet nie wiesz, co czujesz do tego faceta.

- On jest moim szefem, to wszystko.

- Tak? - Peter wstał od stolika i stanął obok, patrząc na nią z góry. - Przemyśl to sobie, Cait. Lyon nigdy nie zobaczy w tobie nikogo więcej niż tylko swoją asystentkę. On patrzy na ciebie i widzi jeden z elementów wyposażenia biura. Nic więcej.

Caitlyn nie wiedziała co odpowiedzieć. Ta rozmowa zaskoczyła ją. Całą jej winą było to, że opowiedziała mu o tym, jak Jeff zamierza kupić statek pasażerski i jak z powodu ślubu być może nie będzie mogła pojechać do Portugalii dopilnować tej transakcji. Wtedy Peter się zmienił i wystąpił z propozycją odwołania ślubu, który od pół roku przygotowywała.

Zaledwie miesiąc wcześniej rozesłała zaproszenia, napływały już prezenty, złożyli zaliczkę w lokalu w Lagunie. A teraz wyglądało na to, że będzie musiała to wszystko odwołać. Dlaczego, na Boga, Peter uważał, że zakochała się w swoim szefie? Przecież Jefferson Lyon był aroganckim,

zarozumiałym i po prostu denerwującym waśniakiem. Czy miała nienawidzić swoją pracę? Czy tak byłoby lepiej dla Petera?

- Przykro mi, że tak to wyszło - usprawiedliwił się Peter, wyciągając dłoń w jej stronę. Zdażyła w porę ją pochwycić, a on przyciągnął ją do siebie. - Myślę, że dobrze nam było razem.

- Mylisz się co do mnie - stwierdziła, patrząc na mężczyznę, o którym myślała, że spędzi z nim resztę życia.

- Naprawdę - powiedział smutno Peter - chciałbym, żeby tak było.

Potem odszedł, a Caitlyn została sama z gołym palcem i ziejącą pustką w sercu.

- Caitlyn!

Głos Jeffersona wypalił jak strzelba i wyrwał ją z rozmyślań.

- Przepraszam, przepraszam.

- To nie w twoim stylu tak się zamyślać - zauważył.

- Ja tylko... - Co? - spytała samą siebie. Zamierzasz stanąć i powiedzieć, że narzeczony zerwał z tobą, bo uważa, że się zakochałaś w szefie? To naprawdę najlepszy moment? Zastanów się, Caitlyn.

- Tylko co? - drążył, zerknąwszy w jej stronę z częściowym jedynie zainteresowaniem, bo wciąż przeglądał papiery na biurku.

- Nic.

Nie zamierzała mu mówić. Nie o odwołanym ślubie. Oczywiście w końcu będzie musiała mu powiedzieć, bo wzięła cztery tygodnie urlopu na czas miesiąca miodowego, a teraz, niestety, nie będą jej już potrzebne.

- Chciałam ci przypomnieć: o drugiej masz spotkanie z szefami Simpson Furniture i jesteś umówiony na kolację z Claudią.

Jefferson wyciągnął się w swoim skórzanym granatowym fotelu, założył ręce na brzuchu i mruknął:

- Dzisiaj nie mam czasu dla Claudii. Odwołaj to, dobrze? I... wyślij jej coś.

Caitlyn westchnęła, wyobrażając sobie już, jaką rozmowę będzie musiała przeprowadzić z Claudią Stevens, najnowszą zdobyczą na długiej liście boskich modelek i aktorek. Claudia nie była przyzwyczajona do tego, żeby mężczyzna nie padał do jej stóp, by ją ubóstwiać. Bezskutecznie pragnęła ciągłej troski ze strony Jeffersona Lyona.

Wiedziała, że to tak się skończy. Ten facet zawsze odwoływał randki. Albo raczej jej zlecał ich odwołanie. Dla Jeffersona praca zawsze była na pierwszym miejscu, a dopiero gdzieś za nią było miejsce na jego życie. W ciągu trzech lat nigdy nie spotykał się z kobietą dłużej niż przez sześć tygodni. Te, które tyle wytrwały, były naprawdę skłonne do wybaczenia mu.

Peter tak bardzo się mylił co do niej. Nie mogłaby nigdy kochać kogoś takiego jak Jefferson Lyon. Ich związek nie miałby przyszłości.

- Nie będzie szczęśliwa.

Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo.

- Jakiś prezent. Może coś z biżuterii.

- W porządku - odpowiedziała. - Srebro czy złoto? Wyprostował się, wziął długopis i wrócił do góry papierów czekającej na niego.

- Srebro.

- Jak mogłam tego nie wiedzieć? - mruknęła, bo oczywiście złoto było zarezerwowane dla kobiet, których cierpliwość trwała dłużej niż trzy tygodnie. - Zajmę się tym.

- Wierzę w ciebie - powiedział, ale ona była już w korytarzu. - Caitlyn?

Zatrzymała się, odwróciła i zobaczyła, jak światło prześwieca przez przyciemnione szyby i poślaca jego włosy. Zaskoczona tym niecodziennym widokiem, spytała:

- Tak?

- Proszę, żeby nikt mi dzisiaj nie przeszkadzał, poza spotkaniem o drugiej.

- W porządku. - Przeszła przez drzwi, zamknęła je za sobą i oparła się o nie plecami.

Udało się. Udało jej się porozmawiać z Jeffersonem, powstrzymując wszystkie emocje, które nią targaly.

W końcu to, że rzucił ją narzeczony, nie oznaczało jeszcze, że jej życie się skończyło.

Jefferson pracował cały dzień, załatwił większość pilnych spraw i około szóstej mógł się już rozejrzeć. Słońce zmieniało już kolor i chowało się za horyzontem oceanu. Nie miał jednak czasu go podziwiać. Wciąż miał jeszcze dużo rzeczy do zrobienia. Przede wszystkim umowa kupna pasażerskiego liniowca. Wystarczył rzut oka na treść zamówienia i już przyciskał guzik interkomu, który połączył go z Caitlyn.

- Caitlyn, muszę się z tobą zobaczyć. - Za minutę otworzyła drzwi, z torebką przewieszoną przez ramię, jak gdyby miała już wychodzić. - Przeczytaj drugi paragraf.

Jefferson obserwował, jak zakłada kosmyk blond włosów za ucho, czytając dokument. Zauważył, że zmienił jej się wyraz twarzy, gdy znalazła pomyłkę w tekście, którą on przed chwilą odkrył. To nie było do niej podobne. Caitlyn, jego dotychczas najlepsza asystentka, po prostu nie popełniała błędów. Właśnie dlatego tak dobrze mu się z nią współpracowało.

W jego świecie wszystko przebiegało gładko, dokładnie tak, jak sobie tego życzył. Żadnych niespodzianek, żadnego zaskoczenia. Wszystko według jego zaleceń. To, że Caitlyn zaczęła popełniać pomyłki, było załamaniem w jego wszechświecie.

- Zaraz to poprawię - powiedziała, spotykając się z nim wzrokiem.

- To dobrze. Najbardziej martwi mnie to, że pomyłka jest właśnie w tym miejscu. - Wskazał palcem liniijkę, która przykuła jego uwagę. - Nie mogę oferować pięciuset milionów dolarów za statek, za który zgodziłem się poprzednio zapłacić pięćdziesiąt milionów.

Westchnęła ciężko, zdmuchując z oczu ciemnoblonde grzywki.

- Wiem, Jefferson, ale nikt tego jeszcze nie widział. To jest tylko próbne zamówienie, nie ostateczna wersja.

- Ale mogło się nią stać.

- Ale się nie stało.

Skrzyżował ręce na piersiach i spojrzał na nią z góry. Nawet na wysokich obcasach była od niego sporo niższa.

- To ci się nigdy nie zdarzało. Znowu westchnęła i stwierdziła:

- Ja tego nie przepisywałam, tylko Georgia.

Zaczynał się niecierpliwić. Był człowiekiem, który wymagał tej samej doskonałości od swoich pracowników co od siebie. A Caitlyn, będąc szefem jego sekretariatu, była odpowiedzialna za wszystkie dokumenty sporządzane w tym biurze. Fakt, że zwała teraz winę na sekretarkę, zirytował go.

- A po co w ogóle obarczać tym Georgię? Ta kobieta nie jest wystarczająco kompetentna.

Starsza pani, Georgia Morris, pracowała w tej rodzinnej firmie od dwudziestu lat. Była w Lyon Shipping swego rodzaju instytucją. Ale to nie znaczyło, że Jefferson nie dostrzegał jej nieudolności.

Cenił sobie lojalność, ale wszystko miało swoje granice.

Caitlyn przeszła teraz do obrony.

- Georgia jest bardzo kompetentna. Ciężko pracuje. To była zwykła pomyłka.

- Warta czterysta pięćdziesiąt milionów dolarów. Skrzywiła się.

- Ona po prostu próbowała mi pomóc.

- A dlaczego to nagle potrzebujesz pomocy w pracy, którą wykonujesz od dwóch lat?

- Od trzech.

- Co?

- Od trzech lat - poprawiła zdenerwowana. - Pracuję u ciebie od trzech lat.

Nie zdawał sobie z tego sprawy. Ale jednocześnie zdawało mu się, że pracuje z nim od zawsze. Była integralną częścią jego firmy.

- Tym bardziej nie potrzebujesz pomocników - powiedział Jefferson, zmieszany, widząc błysk w jej oczach. O co, do diabła, ona się wścieka?

Jakby czytając w jego myślach, spróbowała się przez chwilę uspokoić. Głęboki wdech, zaciśnięcie szczęk, długi wydech i znów mogła mówić.

- Miałam ciężki dzień - wysapała w końcu. - Georgia zachowała się po przyjacielsku.

- To, że jest miła, nie oznacza, że sobie radzi z pracą - odpowiedział twardo Jefferson. Nie interesowało go, dlaczego Caitlyn miała ciężki dzień. Nie angażował się w prywatne życie swoich pracowników. Wolał, gdy te sprawy pozostawały poza firmą.

- Nie jestem tym zaskoczona - mruknęła Caitlyn.

- Słucham?

- Nic.

Spojrzał na nią groźnie.

- I jeżeli nadal planujesz zlecić swoją robotę Georgii, kiedy wyjedziesz na miesiąc miodowy, to lepiej to przemyśl. Pogadaj z agencją pracy tymczasowej, żeby przysłali tu kogoś, kto będzie w stanie wykonać tę pracę, nie robiąc tak kosztownych pomyłek.

- To nie będzie konieczne - stwierdziła, zsuwając torebkę z ramienia i podchodząc do biurka.

Jefferson zaśmiał się i podszedł do niej.

- To będzie bardzo konieczne. Nie będzie cię cztery tygodnie, a nie mogę pozwolić, żeby Georgia przez ten czas kierowała biurem, zresztą i tak by sobie z tym nie poradziła.

- Nie - powiedziała Caitlyn, odsuwając swój fotel i włączając komputer. - Chodziło mi o to, że nie trzeba będzie dzwonić do agencji, bo nie wyjeżdżam.

Jefferson nachmurzony okrążał jej biurko, patrząc, jak się przygotowuje do przepisania zamówienia. Dopiero wówczas dostrzegł, że z jej palca zniknął diamentowy pierścionek, który nosiła przez ostatnie sześć miesięcy. A więc to była ta przyczyna jej ciężkiego dnia. A niech to.

Podrapał się po karku. Nie chciał się mieszać w jej prywatne sprawy. Chciał, żeby praca pozostała pracą. Gdyby nie poprosiła o cztery tygodnie wolnego na miesiąc miodowy, pewnie nigdy by się nie dowiedział, że wyszła za mąż.

A teraz wyglądało na to, że nie tylko nie będzie ślubu, ale jeszcze, za jej sprawą, będzie zmuszony z nią o tym porozmawiać.

- A co z miesiącem miodowym?

- Nie można mieć miesiąca miodowego bez ślubu - zauważyła trafnie, nie patrząc jednak w jego stronę.

Co należało powiedzieć w takiej sytuacji?

Przykro mi?

Gratuluję? To mu akurat bardziej odpowiadało. Jefferson nie widział sensu wiązać się do końca życia z kimś, kto niewątpliwie będzie tylko jęczał i narzekał.

Lepiej jednak nie dzielić się tymi przemyśleniami.

- A więc odwołane?

- Na to wygląda - odparła, włączając edytor tekstu w komputerze.

Widocznie się mylił. Wcale nie miała ochoty mówić o swoim byłym, tak samo jak on nie miał ochoty o nim słuchać. Tak było prościej. Wciąż się jednak zastanawiał, dlaczego nie chciała powiedzieć czegoś więcej.

Z jego doświadczeń wynikało, że kobiety uwielbiają zanudzać facetów na śmierć, mówiąc o swoich uczuciach, potrzebach, pragnieniach i żalach.

Najwyraźniej Caitlyn była wyjątkiem od tej reguły.

Z podniesioną brwią obserwował, jak jej małe, sprawne dłonie poruszają się po klawiaturze ze zręcznością pianisty. Płynnie, szybko, po chwili dokument

był już gotowy i mogła go drukować. Gdy tylko wyszedł z maszyny, wręczyła go Jeffersonowi, mówiąc:

- Proszę. Kryzys zażegnany.

Przejrzał go pobieżnie, kiwnął głową, akceptując zmianę, i znowu spojrzał na nią. Cokolwiek było powodem odwołania ślubu, z pewnością dobrze sobie z tym radziła. I był jej za to wdzięczny. Nie chciał mieć w biurze szlochającej kobiety. Chciał, żeby jego świat, jego życie toczyło się według ustalonych reguł. Bez przeszkód.

- Dzięki.

Skinęła głową, wyłączyła komputer i znów wzięła torebkę.

- Jeżeli to już wszystko, to ja uciekam.

- Dobrze. - Odwrócił się i skierował w stronę swojego gabinetu. Nagle coś mu przyszło do głowy, zatrzymał się w progu i spojrzał na nią.

- Skoro nie bierzesz ślubu, rozumiem, że możesz pojechać ze mną do Portugalii?

- Słucham?

Jefferson mówił dalej, idąc do gabinetu, słusznie zakładając, że ona pójdzie za nim.

- Wyjeżdżamy za trzy tygodnie. Chcę osobiście sprawdzić ten nowy statek i chciałbym, żebyś ze mną pojechała. A ponieważ zmieniłaś plany, nie widzę powodu, dla którego miałabyś tego nie zrobić.

Usiadł za biurkiem, położył nowe zamówienie na wierzchu całej oferty i wyciągnął się w fotelu. Jego spojrzenie się wyostrzyło, gdy zauważył błysk w jej oku i zaciśnięte usta.

- To tyle? - zapytała. - To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

- Na jaki temat?

- Na taki, że nie wychodzę za mąż.

- A co jeszcze powinienem powiedzieć?

- Już nic - wypaliła.

Ale ton jej głosu zdradzał, że oczekiwała dużo więcej.

- Jeżeli się spodziewasz kondolencji, w porządku. Składam je.

- Ach! - Uderzyła się w pierś i zrobiła wielkie oczy, udając zaskoczoną. - To było takie szczere, Jefferson. Poczekaj, muszę złapać oddech.

- Co proszę? - Znów wstał i stanął z nią twarzą w twarz, obserwując wszystkie emocje, które się malowały w jej oczach. Przez cały ten czas, kiedy pracowali razem, Caitlyn nigdy nie okazywała uczuć. Bywała sarkastyczna, jednak zawsze się starała, aby ich relacje pozostawały czysto biznesowe. Aż do teraz.

- Wcale nie jest ci przykro. Cieszysz się, że znowu jestem na każde twoje wezwanie.

- Zawsze jesteś na każde moje wezwanie - zauważył, nie do końca rozumiejąc, skąd brał się jej gniew.

- Na miłość boską, no pewnie, że jestem, prawda?

- A dlaczego miałybyś nie być? - Wyprostowany wsparł się obiema dłońmi o biurko.

- Masz rację. To moja praca. I jestem w niej dobra. Pewnie za dobra i dlatego to wszystko się teraz tak skomplikowało. Ale Peter się myli.

- Peter? A kto to jest Peter?

- Mój narzeczony - warknęła, miażdżąc go wzrokiem. - Boże, od sześciu miesięcy jestem z nim zaręczona, a ty nawet nie wiesz, jak ma na imię?

- A dlaczego miałbym wiedzieć, jak się nazywa ten cholerny facet? - spytał, wciskając ręce do kieszeni. Rozmowa zmierzała w takim kierunku, że było mu już wszystko jedno.

- Ponieważ - syknęła, patrząc na niego - w cywilizowanych społeczeństwach interesowanie się swoimi współpracownikami jest czymś normalnym.

Żachnął się.

- Nie jesteś moim współpracownikiem. Jesteś moim podwładnym.

Patrzyła na niego, nie mogąc w to uwierzyć.

- I to wszystko?

- A co tu jest jeszcze do dodania?

- Wiesz co - wyrzuciła z siebie Caitlyn, ściskając pasek od torebki przewieszanej przez ramię - ty chyba naprawdę tak uważasz. Nie masz pojęcia...

- O czym?

- A skoro nie masz pojęcia, to nawet nie będę próbowała ci tłumaczyć.

- Ach, ostatnia zagrywka przyparłej do muru kobiety - skwitował, kręcąc głową. - Spodziewałem się po tobie więcej, Caitlyn.

- A ja się spodziewałam... - Przerwała, żeby zdmuchnąć z czoła kolejne kosmyki, a on został znów narażony na gromy padające z jej oczu. - Właściwie nie wiem, dlaczego się spodziewałam czegoś innego. Więc wiesz, co? To już nieważne.

- Doskonale - powiedział Jefferson, chwytając się okazji, żeby zakończyć jak najszybciej tę dyskusję. Z jakichś niewytłumaczalnych powodów jego niezawodna i wierna asystentka straciła stabilność emocjonalną. - Zapomnij, że ta rozmowa kiedykolwiek miała miejsce.

- Ty też zapomnisz, prawda? - Caitlyn jeszcze mocniej chwyciła torebkę, odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi. - Cóż, ja już niedługo przestanę zapominać, Jefferson.

Po chwili już jej nie było. Nie był przyzwyczajony, żeby ktokolwiek mu się przeciwstawiał. I nie lubił tego.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Faceci są beznadziejni.

Debbie Harris zde gustowana uniosła w górę swój kieliszek.

- Słusznie, słusznie. - Janine Shaker również podniosła swój, wznosząc toast.

- Przyłączam się - powiedziała Caitlyn, stukając swoim kieliszkiem w kieliszki przyjaciółek. Pociągnęła łyk malinowego martini i wypuściła powietrze.

Po minionym weekendzie, nie wspominając już o ostatniej rozmowie z Jeffersonem, dobrze było pobyć chwilę z przyjaciółkami. Kobietami, które potrafią zrozumieć. Kobietami, na które może liczyć, choćby nie wiadomo co się działo.

- Wszystko dobrze, kochanie? - spytała Debbie, ta z największym sercem i najbardziej wrażliwą duszą. - Tak, na pewno?

- W porządku - uspokoiła Caitlyn, sama zaskoczona prawdziwością tego stwierdzenia.

Dobry Boże. Jej małżeństwo z Peterem stało pod znakiem zapytania. Czyż nie powinna się zamartwiać? Czy nie powinna siedzieć i szlochać gdzieś w kącie?

Oczywiście płakała trochę w czasie weekendu, ale gdyby Peter był prawdziwą miłością jej życia, powinna się chyba czuć zdruzgotana? A tak się nie czuła. I to, w jakiś sposób, było nawet smutniejsze od samego rozstania.

- Nie mogę uwierzyć, że Peter myśli, że zakochałaś się w swoim szefie - zachnęła się Janine, parszkając śmiechem. - Przecież Lyon doprowadza cię do szału.

- Myślę, że Peter po prostu się wystraszył i potrzebował powodu, żeby się wycofać z tego ślubu - dodała Debbie.

- No tak, ale zarzucać jej, że się zakochała w Lyonie? - Janine pokręciła głową. - To już naprawdę przegiecie.

W tej chwili Caitlyn nie była w stanie myśleć o Jeffersonie Lyonie, nie zgrzytając zębami. Zakochana w nim? Niemożliwe. Zauroczona? O, tak. Każda normalna kobieta byłaby nim zauroczona. Ale nigdy nie przerodziło się to w nic więcej.

- Nawet nie zaczynaj mi o nim mówić - skarciła ją Caitlyn i wzięła chipsa z koszyka na stole. Zmiażdżyła go zębami, udając, że przegryza kark swojemu szefowi, i ciągnęła: - Kiedy Jefferson się dowiedział, że ślub jest odwołany, powiedział tylko: „To dobrze. Przynajmniej możesz pojechać ze mną do Portugalii”. Żadnego: „Przykro mi, Caitlyn. Wszystko w porządku? Potrzebujesz wziąć wolne? Chcesz, żebym załatwił tego dupka?”. - Wzięła kolejny łyk drinka i sięgnęła po następnego chipsa. - Mówię wam. Byłam o krok od złożenia rezygnacji.

- Trzeba było tak zrobić - osądziła Debbie. - Faceci to świnię.

- Czy ja już tego gdzieś nie słyszałam? - zastanowiła się głośno Janine.

- Bardzo śmieszne. - Debbie zmusiła się do uśmiechu i znów spojrzała na Caitlyn. - W każdym razie Peter na pewno miał jakiś problem z zaangażowaniem się, a Lyon przydał mu się jako wygodna wymówka.

- Cóż, trochę głupia - uznała Caitlyn. Nie dopuszczała do siebie myśli o tym nagłym przypląwie czegoś gorącego i przyjemnego, który czuła, gdy się znajdowała zbyt blisko Jeffersona. To było pożądanie. Albo nawet nie to. Po prostu... podziw dla dobrze wyglądającego faceta. Właśnie to. Zgodziła się. Podziw i zauroczenie. Nic więcej.

- Taa... - Janine pokręciła głową. - Dobrze, że przynajmniej dał ci miesiąc na odwołanie wszystkiego. Nie tak jak mój były, John, który stwierdził, że trzy dni w zupełności wystarczą.

To prawda, były narzeczeni Janine zostawił jej przed ich planowanym ślubem liścik ze słowami: „Przepraszam, kochanie. To jednak nie dla mnie”. Debbie miała rację. Faceci byli beznadziejni.

- Powiedziałaś już mamie? - Debbie zadała pytanie tak, jakby już znała odpowiedź.

Tak, jej przyjaciółki naprawdę dobrze ją znały. Znały jej rodzinę. Wiedziały, jakie piekło zgotowała Caitlyn jej matka, kiedy się dowiedziała, że właśnie straciła szansę zostania matką panny młodej.

- Tak, to było niezłe. - Caitlyn zamknęła oczy i westchnęła, przypominając sobie szok, rozczarowanie i frustrację, jakie malowały się na twarzy jej mamy wczoraj, kiedy się u niej zjawiała z tą wiadomością.

- Domyślałam się, że nie była zachwycona - stwierdziła Janine.

- Można tak powiedzieć. To tak, jakbym ja... Zresztą tego się nie da z niczym porównać. Już tydzień po tym, jak Peter się oświadczył, miała przygotowaną suknię, w której wystąpi na ślubie - zdradziła Caitlyn. - „Cztery razy - mówiła mi - cztery razy byłam mamą pana młodego. A teraz miałam być w końcu matką panny młodej”.

- Ups - mruknęła cicho Debbie.

- No właśnie - przyznała Caitlyn. - Nawet „Matka Panny Młodej” powiedziała dużymi literami. Tak bardzo się we wszystko zaangażowała. Właściwie tylko dlatego mogłam sama wybrać miejsce ślubu, że Peter i ja płaciliśmy za wszystko. W przeciwnym razie mama znalazłaby jakąś katedrę albo coś podobnego. Naprawdę zależało jej na wielkim show.

- Jeszcze każe ci zapłacić...

- Niech Peter płaci - poradziła Janine.

- Nieważne - uznała Caitlyn, kręcąc głową. - Chodzi o to, że to naprawdę koniec. I nasze małe kółko porzuconych kobiet jest już kompletne.

Debbie spojrzała na nią przez stół.

- Nie mogę uwierzyć, że Peter okazał się takim tchórzem. Wydawał się miły.

Janine dokończyła drinka i spojrzała smętnie na pusty kieliszek.

- Wszyscy wydają się mili na początku. Mike też był dla ciebie miły, dopóki się nie dowiedziałaś, że miał już dwie żony.

Teraz z kolei Caitlyn się skrzywiła. Pół roku temu Debbie szykowałą się do wyjazdu z ukochanym i wzięcia ślubu w Vegas, kiedy przez przypadek podsłuchiwała jego rozmowę przez telefon. Wynikało z niej, że kobieta, z którą rozmawiał, była jego żoną. A zanim się to wszystko wyjaśniło, pojawiła się jeszcze jedna żona. W rezultacie Mike wylądował w więzieniu, czyli tam, gdzie powinni trafić wszyscy bigamiści.

- To prawda - zamyśliła się Debbie, pocierając palec w miejscu, gdzie jeszcze pół roku temu znajdował się kamień księżycowy. Wzruszyła ramionami i spojrzała na Janine. - Ty byłaś w najgorszej sytuacji z nas wszystkich. Tylko trzy dni na odwołanie wszystkiego.

Janine przytaknęła.

- John zawsze miał skłonność do dramatycznych rozwiązań.

- To był kiepski rok, prawda? - Debbie odrzuciła do tyłu długie blond włosy i spojrzała na Janine i Caitlyn. - W sensie uczuciowym.

- Delikatnie powiedziane. - Janine przywoływała kelnerkę, podnosząc pusty kieliszek. - Co takiego się stało, że wszystkie trzy z nas zaręczyły się i zerwały zaręczyny w tym samym roku?

- Jest w tym jakaś ironia, przyznaję - westchnęła Caitlyn. Przejeżdżając palcem po śladzie, który jej kieliszek zostawił na gładkiej powierzchni stołu, dodała: - Przynajmniej mamy siebie nawzajem.

- Dzięki Bogu - stwierdziła Janine.

Caitlyn upiła jeszcze łyk malinowego alkoholu i zlizwała z ust kropelkę.

- Wszystkie trzy zaręczone, a potem porzucone. Czy to coś o nas mówi?

- Może, że jesteśmy zbyt dobre dla facetów, którzy są akurat pod ręką? - zasugerowała Janine z uśmiechem.

- Tak, to na pewno - przyznała, chichocząc, Debbie. - Ale to też mówi: oto my. Jest poniedziałek wieczór, a my siedzimy przy tym samym stoliku w tym samym barze, w którym się spotykamy od pięciu lat.

- Hej, ja lubię „Na nabrzeżu” - zaproponowała Janine, znów podnosząc kieliszek, by przywołać kelnerkę.

- Wszystkie lubimy - wtrąciła Caitlyn, kończąc martini, żeby rozpocząć następną kolejkę.

Rozejrzała się dookoła po zatłoczonym pomieszczeniu. Było paru mężczyzn w garniturach, którzy zatrzymali się na szybkiego drinka w drodze z pracy do domu. Głównie jednak cały ten tłum złożony był z postaci takich jak Caitlyn i jej przyjaciółki. Zrelaksowanych, w dżinsach i T-shirtach, chcących się wyluzować w przyjemnym miejscu.

„Na nabrzeżu”, mały lokalny bar w Long Beach, służył im za miejsce spotkań, od kiedy skończyły dwadzieścia jeden lat. W każdy poniedziałek, cokolwiek by się działo, trzy dziewczyny spotykały się tam na drinka i plotki.

W ciągu ostatniego roku, gdy musiały sobie nawzajem współczuć z powodu zerwanych zaręczyn, te spotkania stały się dla nich szczególnie ważne. Caitlyn przejechała palcem po krawędzi kieliszka, przyglądając się dokładnie przyjaciółkom. Stwierdziła, że pomimo tego straszego ciężaru, który leżał jej na żołądku, jednak się uśmiecha. Wszystkie trzy przyjaźniły się od czasów szkoły średniej.

Caitlyn wychowywała się z czterema starszymi braćmi i zawsze bardzo chciała mieć siostrę. A Debbie i Janine były dla niej jak siostry. Były jej bliższe niż ktokolwiek, kogo знаła.

- To świetny bar i wszystkich tu znamy. To nasza bezpieczna przestrzeń.

- Dokładnie! - Debbie wysiorbała resztki swojego drinka i odstawiła kieliszek. Oparła się łokciami o stół, popatrzyła na koleżanki i powiedziała: - O

to mi właśnie chodzi. Poruszamy się w bezpiecznej przestrzeni. Wszystkie zostałyśmy porzucone i dalej tu siedzimy. To samo miejsce. Ten sam dzień. Ta sama godzina.

- No i? - zapytała Janine, gdy kelnerka przyniosła nowe drinki i zabrała puste kieliszki.

Po odejściu kelnerki Debbie złapała swój kieliszek i pociągnęła łyk jasnozielonego alkoholu.

- No i dlaczego właściwie cieszy nas poruszanie się ciągle w tej bezpiecznej przestrzeni? Dlaczego się stąd nie wyrwiemy? Nie zrobimy czegoś szalonego?

Caitlyn zmarszczyła brwi.

- Na przykład czego?

- Na przykład... - Debbie zawahała się. - Nie powiem ci tak z głowy. Ale na pewno jest coś takiego.

- Może... - zaczęła Janine, ale zamilkła i pokręciła głową. - A zresztą...
Nieważne.

- Co?

- Nie możesz tak zacząć i nie powiedzić nam - zaprotestowała Caitlyn.

- No dobra. - Janine uśmiechnęła się do nich i upiła łyk ze swojego drinka. - Myślałam o tym od paru dni. Żadna z nas nie wychodzi za mąż. Żadna nie będzie miała miesiąca miodowego, który planowała. I żadna z nas nie wydała pieniędzy, które przeznaczyła na ten cały ślub i wesele.

- I...? - zachęcała ją Debbie.

- I - ciągnęła Janine - ostatniej nocy to zrozumiałam. Dlaczego nie wydać tych pieniędzy wspólnie?

- Jak? - spytała Caitlyn na tyle zaciekawiona, żeby posłuchać.

- Na odjazdowe wakacje bez trzymanki - zakończyła Janine, która w miarę mówienia stopniowo zapalała się do własnego pomysłu. Jej oczy błyszczały i uśmiechała się. - Niech każda z nas weźmie cztery tygodnie

wolnego, które zarezerwowała na miesiąc miodowy, i pojedźmy gdzieś razem. Na przykład do jakiegoś wypasionego kurortu, gdzie będziemy obsługiwane, będziemy pić, bawić się i chodzić do łóżka tak często, jak to tylko możliwe.

- Myślałaś o tym, co? - spytała Debbie.

- No cóż, tak! - przyznała. - Od soboty, kiedy Caitlyn zadzwoniła, żeby opowiedzieć nam o Peterze. Naprawdę mnie to wkurzyło. A potem sobie uświadomiłam, że wszystkie trzy miałyśmy beznadziejny rok. Wydaje mi się, że zasługujemy na to, żeby się zabawić.

Debbie głośno wypuściła powietrze, pociągnęła łyk drinka i odstawiła kieliszek na stół.

- Brzmi nieźle.

Caitlyn czuła, jak buzuje w niej krew. Czuła dreszcz emocji. Miała spażany weekend i równie zły dzień. Czy nie zasługiwała na odrobinę zabawy? To brzmiało jak zaproszenie. Kiwając głową, zawyrokowała:

- Świetny pomysł. Kiedy jedziemy?

Janine spojrzała na obydwie i zaśmiała się.

- Za dwa tygodnie. Wystarczająco dużo czasu, żeby znaleźć kogoś na zastępstwo w pracy i na tyle krótko, żebyśmy się nie zdążyły rozmyślić.

- Ona ma rację, Caitlyn. Jeżeli nie zrobimy tego teraz - ostrzegła Debbie - to później wybijemy to sobie z głowy.

- To prawda - zgodziła się Caitlyn, wiedząc, że przynajmniej ona potrafiłaby wyperswadować sobie z głowy tę całą „zabawę” i iść do pracy jak grzeczna dziewczynka.

- Dobra, to za dwa tygodnie. Jeżeli uda nam się zrobić rezerwację.

- Chwileczkę? Rezerwację dokąd? - zapytała Debbie.

Głosy przy barze zlały się w przyjemne tło, ze stojącej w rogu starej szafy grającej sączyła się wolna piosenka. Na zewnątrz zimny wiatr znad oceanu uderzał w szyby, a oczy Janine płonęły, gdy nachyliła się nad stolikiem i szepnęła:

- Fantazja.

- Uaa... - Debbie zgarbiła się na krześle.

- Serio? - Caitlyn chwyciła swojego drinka i zaczęła rozważać różne możliwości, nie słuchając już dalej, o czym mówiła Janine. Fantazja była jednym z najbardziej luksusowych kurortów na świecie. Wszystko, co Caitlyn czytała o tym miejscu, sugerowało, że spędza się w nim szalone noce i wspaniałe dni wypełnione romansami i dogadzaniem sobie.

Dokładnie to, czego wszystkie trzy potrzebowały.

- Nigdy nie dostaniemy tam rezerwacji - zaprotestowała Debbie.

- Już mamy - triumfowała Janine, puszczając oko. - Dzwoniłam wczoraj i wpłaciłam zaliczkę za trzy pokoje. Mieli trochę odwołanych rezerwacji, więc nam się poszczęściło. Myślę, że to przeznaczenie, że teraz nadszedł nasz czas. Musimy to zrobić.

- Nie mogę uwierzyć, że zrobiłaś rezerwację.

W Caitlyn narastało podniecenie. Tyle czytała o tym miejscu w gazetach i rubrykach plotkarskich, jak mogła nie chcieć teraz tam pojechać z dwiema najlepszymi przyjaciółkami? Uderzyła dłonią w środek stołu i powiedziała:

- Wchodzę w to.

- No cóż, wiadomo, że ja też, bo sama to wymyśliłam. - Janine położyła swoją dłoń na dłoni Caitlyn i obydwie spojrzały na Debbie.

- To szaleństwo, wiecie o tym, prawda? Chodzi o to, że po prostu wylatujemy i wydajemy kupę forsy w jakimś kurorcie, tak dla przyjemności. - Debbie przygryzła dolną wargę i patrzyła na przemian na każdą z przyjaciółek.

- W czym problem? - spytała Janine.

- W niczym - odparła Debbie i położyła swoją dłoń na dłoniach przyjaciółek. - Tak tylko mówię. W każdym razie ja też w to wchodzę.

- Będzie super - zapewniła Caitlyn i odchyliła się na krześle. - Bardzo tego potrzebuję. Wszystkie musimy się na trochę gdzieś wyrwać.

- Niektóre z nas szczególnie - mruknęła Debbie, wskazując głową na drzwi.

- Co on tu robi? - szepnęła Janine.

Caitlyn zaciekawiona odwróciła się i aż ją zmroziło. Do baru pewnym krokiem wszedł Jefferson Lyon. Stał jak pięknie ubrany posąg, wzrokiem zlustrował salę, aż trafił na nią. Zmrużył oczy i podszedł w jej stronę jak człowiek, który ma misję.

- Kurczę - wyszeptała Debbie. - Nigdy bym nie pomyślała, że on chodzi do takich miejsc.

- Rzeczywiście - dodała Janine. - Zdecydowanie nie w jego stylu.

Caitlyn też musiała to przyznać. W tłumie niebieskich dżinsów i prostych koszul jego garnitur od Armaniego wyróżniał się niczym neon. Oczywiście Jefferson Lyon wyróżniałby się w każdym tłumie. Miał po prostu tę aurę. Potężny, seksowny i...

Przestań z tym - nakazała sobie twardo, wstając, żeby się z nim przywitać. Udało jej się wytłumaczyć sobie, że to, co poczuła, było po prostu reakcją na jego niespodziewane pojawienie się tutaj.

Nawet nie wiedziała, że zdawał sobie sprawę z istnienia „Na nabrzeżu”.

Wzrok miał utkwiony w niej, ale był świadom obecności także innych kobiet, które wpatrywały się w niego z zachwytem. A ona doskonale je rozumiała. W jego sposobie chodzenia była jednocześnie moc i pewna ospałość. Poruszał się jak człowiek, który umie podjąć wyzwanie, ale się z tym nie spieszy. Co, oczywiście, sprawiało, że każda kobieta wyobrażała sobie, jak taka mieszanka sprawdzi się w łóżku. O rany.

- Caitlyn - przywitał się, gdy był już dostatecznie blisko, aby być słyszalny w tłumie.

- Jefferson, co ty tu robisz? - Jej głos zabrzmiał nieco ostrzej, niż zamierzała.

Uniósł jedną brew.

- Musiałem się z tobą zobaczyć w sprawie, która nie może poczekać.

- Skąd wiedziałeś, że tu będę?

- Jest poniedziałek wieczór. Zawsze tu przychodzisz.

Ta porcja informacji zadziwiła ją. Nie wiedział, jak ma na imię jej narzeczony, a wiedział, że przychodzi do tego małego baru co poniedziałek?

- Wiem, że tu przychodzę. Ale skąd ty to wiedziałeś?

Wzruszył ramionami, spojrzał na jej przyjaciółki i znów popatrzył jej w oczy.

- Widocznie kiedyś o tym wspomniałaś. A on zapamiętał?

Kręcąc głową, Caitlyn powiedziała sobie, że to nieważne, jak ją znalazł.

- Więc o co chodzi, Jefferson?

Przyglądał się przez chwilę z widocznym zainteresowaniem jej przyjaciółkom, po czym pożegnał je skinieniem głowy. Popatrzył w stronę baru, jak gdyby czuł się skrępowany takim tłumem. Chwył Caitlyn pod ramię i poprowadził ją, czy raczej pociągnął w stronę wyjścia, gdzie było zdecydowanie mniej ludzi.

Caitlyn starała się nie myśleć o tych ukłuciach gorąca, które wywoływał jego uścisk. Po prostu wypila o jedno martini za dużo. Kiedy wyszli z głównej sali, wyzwoliła się z jego objęć, skrzyżowała ręce na piersiach i przechyliła głowę na bok, patrząc na niego.

- Co było takiego ważnego, że nie mogło poczekać do jutra?

Jefferson patrzył na nią i uświadamiał sobie, jak zupełnie inaczej wyglądała poza biurem. Przyzwyczajony był do jej schludnego, oficjalnego stroju, tym bardziej zaskoczył go jej widok z rozpuszczonymi długimi włosami. Miała na sobie znoszone, obcisłe dzinsy, jasnoniebieską koszulkę z dekoltem i sandaalki ukazujące jej zgrabne palce u nóg o pomalowanych na płomiennie czerwony kolor paznokciach.

W powietrzu wyczuwał perfumy, lekkie i kwiatowe, których nigdy nie używała w biurze. To dlatego wołał, aby ich relacje pozostały czysto biznesowe.

Nie chciał wiedzieć, że Caitlyn lubi czerwony lakier do paznokci. Albo że pachnie jak cholerny ogród. Albo że pod tym oficjalnym nudnym mundurkiem do pracy kryje się bujna figura.

Odepchnął te wszystkie rozbiegane myśli. Nie przyszedł tu w końcu w celach towarzyskich.

- Zadzwoił do mnie mój ojciec. Prosi, żebym przyjechał do Seattle jutro po południu. Chcę, żebyś przyszła do biura wcześniej i zajęła się paroma sprawami przed moim wyjazdem.

Spojrzała na niego wielkimi oczami.

- Czy z twoim ojcem wszystko w porządku?

- Tak - odpowiedział Jefferson, mimo wszystko zadowolony, że pomyślała, żeby się o to spytać. Ojciec oficjalnie jako szef firmy był na emeryturze od dwóch lat, trzymał jednak rękę na pulsie, nie chcąc lub nie mogąc w pełni się wycofać. Trzy miesiące temu miał poważny zawał i wciąż przechodził rekonwalescencję.

To dziwne, ale Jefferson właśnie sam się przyznawał do tego, że Caitlyn była jedyną osobą, z którą rozmawiał o zdrowiu swojego ojca. Na tym polegało rozgraniczanie pracy i życia prywatnego.

- To dobrze. Cieszę się. - Popatrzyła na niego przez dłuższy czas. - Ale nie mogłeś po prostu zadzwonić i mi o tym powiedzieć?

Mógł. Powinien był tak zrobić. Ale przyszedł celowo. Po to, by jej przypomnieć, kto tutaj jest szefem. Myślała, że może sobie tak po prostu wyjść z biura, w przypiływie jakiegoś kobiecego wzburzenia? No cóż, przychodząc aż tutaj, Jefferson przypominał jej, że to do niego zawsze należy ostatnie słowo.

Oczywiście nie planował zapuszczać się do tego hałaśliwego i zatłoczonego baru. Pierwotnie zamierzał jechać prosto do swojego apartamentu w Seal Beach. Ale im bardziej myślał o *jej* denerwującym zachowaniu, tym bardziej go ono wkurzało. Wiedział tylko, że odkąd opuścił biuro, cały czas o niej myśli.

- Akurat miałem po drodze - stwierdził i odwrócił się, bo właśnie kolejny klient wchodził do baru. Jefferson zirytowany przytrzymał drzwi, popatrzył na wpychającego się surfera i znów spojrzał na Caitlyn. Wciąż patrzyła na niego swoimi brązowymi oczami, w których odbijały się refleksy światła z pomieszczenia.

- W każdym razie wylatuję o dziesiątej, więc liczę na to, że będziesz w biurze o szóstej.

- W porządku, będę - odparła i odwróciła się, żeby wrócić do przyjaciółek.

Złapał ją za ramię. Jego palce zacisnęły się na ciepłej, gładkiej skórze. Cholera, nie mógł tak po prostu pozwolić jej odejść. Znowu.

Kiedy jednak poczuł, jak przyjemne jest dla niego to, że jej dotyka, puścił ją. Otworzył drzwi wyjściowe i przekroczył próg. Zatrzymał się jednak i odwrócił, zadowolony, że ostatnie słowo znów będzie należało do niego.

- Dobrze. W takim razie do zobaczenia.

ROZDZIAŁ TRZECI

Caitlyn przyjechała za piętnaście szósta rano i zastała już Jeffersona w gabinecie przy telefonie. Nie było to w jego przypadku nic niezwykłego. Poza tym, przy kontaktach z całym światem, trzeba było załatwiać telefony wcześniej ze względu na różnice czasu.

Zostawił na jej biurku plik papierów, więc zaparzyła świeżą kawę i zabrała się do pracy. Lepiej się nie zastanawiać nad tym, co wraz z koleżankami postanowiły, bo jeszcze gotowa się wycofać.

- Ale tego nie zrobię - mruknęła.

Za oknem pojawiły się pierwsze promienie wstającego słońca, kawa pachniała apetycznie, a faks szumiał, wypluwając kartki. Spięła je i odłożyła do właściwej teczki. W biurze zawsze było coś do roboty i dlatego lubiła tę pracę, w której nigdy nie spoglądała z utęsknieniem na zegar.

Zadzwonił telefon. Zauważyła, że linia druga była wciąż zajęta.

- Lyon Shipping.

- O - rozległ się znajomy głos - Caitlyn, kochanie, wcześniej dziś jesteś w pracy.

Uśmiechnęła się. Max Striver, prezes Striver Shipping, zawsze odrobinę z nią flirtował, ale nigdy nie był nachalny. W jego głosie słychać było uśmiech i brytyjski akcent.

- Dzień dobry, panie Striver, co tam w Londynie?

- Max, prosiłem cię, Caitlyn - przypomniał. - A Londyn jest przeraźliwie samotny. Powinnaś przyjechać i mnie odwiedzić.

- Zapiszę sobie - obiecała Caitlyn, wciąż się uśmiechając. - Pan Lyon rozmawia na drugiej linii, Max. Chcesz poczekać, czy ma oddzwonić?

- Jeżeli zechcesz poświęcić mi trochę czasu na rozmowę, to chętnie poczekam.

Caitlyn potrafiła pracować i rozmawiać.

- A o czym będziemy rozmawiać?

- O tym, kiedy zostawisz robotę u tego gburowatego Amerykanina i przyjedziesz pracować u mnie.

Caitlyn westchnęła.

- Max, nie chcesz, żebym u ciebie pracowała, tylko chcesz pozbawić pana Lyonsa moich umiejętności.

- Po trochu jedno i drugie - przyznał, zmieniając intonację. To powinno być zakazane, pomyślała Caitlyn. Od takiego głosu zawsze coś w niej drżało, chociaż wiedziała, że Max Striver był tak samo zainteresowany jej pracą u siebie, jak swoją przeprowadzką do Tucson. - On ci każe za ciężko pracować. A ja jestem wyrozumiałym pracodawcą - ciągnął Max. - Wygodne godziny pracy, dobra płaca i oczywiście... ja.

Światelko na linii Jeffersona zgasło i Caitlyn powiedziała:

- Będę miała to na uwadze, Max. Szef jest już wolny, zaczekaj moment.

- Max Striver na pierwszej linii - powiadomiła Jeffersona.

- Cholera - mruknął. - Czego chce?

- Mnie, żebym u niego pracowała.

- Znowu? Myślałem, że wbił już sobie do tego głupiego łba, że nie ma mowy, żebyś opuściła Lyon Shipping. - Jefferson odchylił się w fotelu i obrócił tak, żeby widzieć przez okno dok i ocean. - O co chodzi, Max?

- Jefferson, stary przyjacielu, czy muszę mieć jakiś powód, żeby do ciebie dzwonić?

- Zazwyczaj masz.

Wychylił się jeszcze bardziej, podziwiając widok. Samotny holownik z logo Lyon Shipping, dźwigi wyładujące towar ze statków - to był świat Jeffersona. Uczył się pracy w tej branży od najniższego stanowiska. Kierował jedną z najlepszych firm przewozów morskich na świecie i wiedział, jak wydobyć ze swych pracowników to co najlepsze. Teraz też wszystko działało tak, jak powinno. Caitlyn obok pracowała sprawnie, porządkując cały ten chaos.

Wiedział, że Max nigdy jej nie podkradnie, żeby pracowała dla Striver Shipping. Poczucie lojalności nie pozwoliłoby Caitlyn przejść do konkurencji.

- Jefferson? Jesteś tam?

Zorientował się, że pozwolił myślom odpłynąć, a w rozmowach z Maksem Striverem należało się skupić na interesach.

- Jestem, Max. I jestem zajęty.

- Rozumiem i zajmę ci tylko minutkę. Słyszałem o twojej podróży do Portugalii...

- I?

- I rozumiem, że tamtejsza stocznia strajkuje...

- Wszystko jest już załatwione - zapewnił Jefferson, zmuszając się do uśmiechu, chociaż zgrzytał zębami - i idzie według planu.

- Miło to słyszeć.

- Z pewnością.

Jefferson i Max konkurowali ze sobą w każdej dziedzinie, od squasha po transport morski.

- Naprawdę mi miło - zapewnił Max. - Nie możemy być konkurencją, jeżeli twój statek nie zejdzie z pochylni. Na razie będziemy mieli nad wami miesiąc przewagi.

Jefferson spojrzał na sufit i uśmiechnął się.

- Z tego, co słyszałem, powinieneś się bardziej zainteresować własnym statkiem.

- O co ci chodzi?

- Cóż - Jefferson miał coraz większą satysfakcję - mój człowiek we Francji mówi, że nowy liniowiec transoceaniczny Strivera ma kłopoty z utrzymaniem szefa kuchni.

- Bzdury.

- Gdybyś umiał postępować z personelem, Max, twój nowy szef kuchni nie byłby teraz w drodze do Portugalii, żeby sprawdzać wyposażenie kuchni na nowym statku Lyona.

- Podkradłeś go, tak?

- I wcale nie było to trudne - pochwalił się Jefferson. - Naprawdę, Max, trzeba było zapłacić facetowi tyle, ile jest wart.

Minęła dłuższa chwila, nim Max się roześmiał. W końcu powiedział:

- Wygrałeś tę rundę, Jeff. Ale gra się toczy dalej.

Kiedy się rozłączył, Jefferson wciąż się uśmiechał. Caitlyn pracowicie prowadziła jego biuro, on zdobył przewagę nad Maksem, a nie było jeszcze ósmej rano.

Palce Caitlyn fruwały nad klawiaturą, gdy przepisywała bazgroły Jeffersona.

Nawet do głowy mu nie przyszło, że któregoś dnia ona może wziąć na serio propozycję pracy od Maksa. „Nie ma mowy, żebyś odeszła, Caitlyn”, powtórzyła jego słowa, po czym dodała to, czego on nie powiedział, a co jej zdaniem, pomyślał: „Można na tobie polegać. Jesteś jak wierny pies, zawsze chętny do pomocy. Wdzięczny, że się go poklepie po łbie”.

Czy nie powinien mieć na tyle przyzwoitości, żeby kiedyś powiedzieć: „Mam nadzieję, że nigdy nie odejdiesz, Caitlyn. Jesteś zbyt ważna dla mnie. Dla firmy”.

Nawet nie przejął się tym, że jego główny konkurent oferuje jej pracę.

- Widzisz - szepnęła do siebie. - Dlatego musisz wyjechać, a Jefferson Lyon musi zobaczyć, jak to jest prowadzić tę firmę bez ciebie. Może okaże trochę wdzięczności i zauważy cię i...

Co ona opowiada? Nie chodzi o to, żeby ją zauważył jako kobietę, tylko jako osobę.

A więc powinna jechać i raz pomyśleć o sobie. Ale jej sumienie już dawało o sobie znać. Przecież nie jedzie w podróż poślubną, więc powinna zostać i pracować. Jak zwykle zrobić tak, jak należy.

Boże, ależ ja jestem nudna, pomyślała Caitlyn. Żałosna. Dwadzieścia sześć lat i nigdy nie zrobiła nic dla siebie. Pewnie, że są to przeraźliwie drogie wakacje, ale czy nie należy jej się relaks i naładowanie baterii? Teraz zabrzmiało to, jakby mówiła Janine.

- Kto to jest Janine?

Caitlyn podskoczyła na dźwięk głębokiego głosu Jeffersona, który usłyszała tuż za sobą. Przyłożyła rękę do serca i spojrzała na niego, kręcąc głową.

- Już lepiej od razu mnie zabij, zamiast tak straszyć.

- Wiedziałaś, że tu jestem.

- Ale rozmawiałeś przez telefon.

- Już nie. Przecież nie chciałem cię przestraszyć. - Był bez marynarki, z podwiniętymi rękawami koszuli. Kołnierzyk miał rozpięty, a granatowy krawat rozluźniony. - Więc kto to jest Janine? - spytał znowu.

- Przyjaciółka - odpowiedziała, odwracając wzrok w kierunku papierów na biurku. Boże, co jeszcze mógł usłyszeć? Może stał tu cały czas? No, super. - Widziałeś ją wczoraj wieczorem w barze.

- Mała blondynka czy wysoka brunetka ze sterczącymi włosami?

- Wcale nie sterczącymi, tylko trochę rozwianymi. - Skąd to nagle zainteresowanie? Miał poczucie winy, że nawet nie znał imienia jej narzeczonego? Nie, poczucie winy to nie dla Jeffersona Lyona. Dlaczego nie zamknął się w swoim gabinecie, jak każdego innego dnia? Czy to wpływ ciszy tego wczesnego poranka i fakt, że pracowali tylko we dwoje?

- Szybko załatwiłeś Maksa - zmieniła temat.

Zmrużył oczy i zacisnął zęby. Przeciągnął dłonią po włosach.

- Chciał mnie tylko postraszyć strajkiem w Portugalii i przypomnieć, że jego statek będzie gotowy miesiąc wcześniej od naszego. Ja mu uświadomiłem, że podkradliśmy mu szefa kuchni. Poza tym on wciąż czuje się dotknięty tym, że my dostaliśmy w zeszłym roku kontrakt z Franco.

- No, to chyba lepiej się czujesz. Uniósł kącik ust w górę.

- To prawda, ale jeżeli linie wycieczkowe Striver zostaną uruchomione miesiąc wcześniej niż Lyon, może zdobyć najlepsze trasy.

- Jego pierwszy statek jest mniejszy.

- Jesteś pewna?

- To pierwsze, co zrobiłam dziś rano - podała mu wydruk. - W stoczni we Francji, gdzie kończą statek Maksa, byli bardzo uprzejmi. Poprosiłam ich o przykład jakiegoś najnowszego dokonania, a oni przysłali mi dokładną dokumentację statku wycieczkowego, który właśnie kończą. Nasz jest co najmniej dziewięćdziesiąt metrów dłuższy. Lepszy na atlantyckie trasy.

Postukał z zadowoleniem w kartkę i posłał jej czarujący uśmiech, który rozświetlił jej wnętrze. Boże, naprawdę potrzebne jej te wakacje. Opanowując szalejące hormony, uniosła się nieco i obróciła w fotelu.

- Czy jeszcze coś chciałeś, Jefferson?

- Tak, chciałem się upewnić, czy załatwiłaś do końca sprawę wyjazdu do Portugalii?

Caitlyn podała mu szarą kopertę.

- Tu są wszystkie szczegóły. W Palacio Estoril trzymają dla ciebie ten apartament co zawsze. Pilot jest powiadomiony, więc samolot firmowy będzie gotowy, gdy tylko dasz hasło. Spotkania w stoczni są umówione. Masz zapisane terminy, a hotel zapewni ci samochód z szoferem.

Przeglądając papiery, szedł do swego gabinetu, po czym obrócił się.

- Zarezerwuj też apartament dla siebie.

- To nie jest konieczne.

- Wiem, ale będzie nam obojgu wygodniej.

- Nie - odpowiedziała, nabierając powietrza, żeby się uspokoić. To nie będzie łatwe, ale nic z Jeffersonem nie jest łatwe. - Nie to miałam na myśli.

Wczoraj powiedziała mu, że nie wychodzi za męża, więc pewnie założył, że pojedzie z nim do Portugalii. A teraz musi mu powiedzieć, że i tak bierze cztery tygodnie urlopu. I lepiej, jeśli zrobi to na stojąco. Będzie się czuła pewniej. Wstała i nalała sobie kawy.

- O czym ty mówisz?

- Nie jadę z tobą do Portugalii, Jefferson. Biorę cztery tygodnie urlopu. Zmarszczył się i zmrużył bystre, niebieskie oczy.

- Przecież nie wychodzisz za męża, więc po co ci ten czas?

- Bo ci to zgłosiłam i chcę wykorzystać.

Przeszedł przez pokój, podszedł do dzbanka z kawą i nalał sobie filiżankę. Upił łyk, zanim na nią spojrzał.

- Teraz to nie jest wygodne.

- Oczywiście, że jest. Zaplanowałam to sześć miesięcy temu i wszystko jest przygotowane.

- Sprawy się zmieniły.

- Co się zmieniło? - Musiała zadzierać głowę, żeby na niego popatrzeć i żałowała, że nie jest wyższa.

- Nie wychodzisz za męża, więc możesz mi towarzyszyć do Portugalii.

- Nie potrzebujesz mnie tam, Jefferson.

- To ja decyduję, czego potrzebuję, Caitlyn. Twoja obecność, jako mojej asystentki, jest tam potrzebna.

- Trudno.

- Słucham?

Caitlyn odstawiła filiżankę, bo trzęsły jej się ręce, odetchnęła i zdecydowała, że jeżeli kiedykolwiek ma o siebie zawalczyć, musi zacząć już.

- Słyszałeś, co powiedziałam. Pracuję dla ciebie, Jefferson, ale nie jestem twoją uniozoną służką. Zgłosiłam ten urlop i on mi się należy.

Spojrzał na nią przez zmrużone oczy.

- Weź go po wyjeździe do Portugalii.

- Nie, tym razem nie.

Rok wcześniej była już spakowana, miała bilet na samolot na Florydę i plan wycieczki statkiem, który układała przez trzy miesiące. Jefferson zadzwonił, kiedy wsiadała do taksówki, żeby odwołała wszystko, bo musi z nim jechać do stoczni we Francji. Rok przedtem musiała skrócić pobyt w Irlandii. Jefferson przyleciał po nią na lotnisko w Shannon bo uparł się, że Caitlyn musi mu towarzyszyć na ważną konferencję w Brazylii.

Tym razem będzie się twardo trzymała swego. Jedzie z przyjaciółkami, a jeżeli Jeffersonowi Lyonowi się to nie podoba, to trudno. Nie będzie więcej odkładała swoich spraw na drugi plan, dbając, żeby najpierw załatwić cudze.

Uniosła śmiało głowę, patrząc w twarz swemu szefowi.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Jesteś egoistką.

- Ja jestem egoistką? - powtórzyła Caitlyn zdumiona, że mógł powiedzieć coś takiego. Facet, który uważa, że świat kręci się wokół niego? Facet, który oczekuje, że przez całe życie każdy na jego widok będzie podskakiwał? Facet, który psuł jej każde wakacje, bo nie pasowały do jego wymagań?

- To zupełnie nie w twoim stylu, Caitlyn - upomniał tonem, który sprawiał, że każdy podwładny rozglądał się natychmiast za wyjściem ewakuacyjnym. Na niej nie robiło to już wrażenia.

- Nie - zgodziła się. - Kompletnie nie w moim stylu. I dlatego to robię.

- Przecież to zupełnie nie ma sensu - stwierdził. Upił łyk kawy i postawił swoją filiżankę obok jej.

- Ma sens. - Odeszła kilka kroków od niego, poczuła w sobie wzbierającą wściekłość i po raz pierwszy w życiu była z tego zadowolona. Obróciła się w

jego stronę i wymierzyła w niego palec wskazujący. - Oczekujesz, że zawsze wszystko rzucę natychmiast i zrobię to, czego sobie życzysz.

Trudno cię za to winić. Ja całe życie robiłam to, czego spodziewali się po mnie inni.

- Godne pochwały.

- A może oznaka słabości. Moi rodzice, brat, Peter, ty, wszyscy po mnie przejeżdżali jak walcem, bo sama się podstawiałam. Wszyscy mnie ustawiali. Koniec. Dosyć mam tego.

- Caitlyn, pracujesz u mnie. - Mówił z wyszukany spokojem, który stosował wobec tych, którzy nadużywali jego wątlej cierpliwości. - To ja decyduję, kiedy możesz wziąć urlop, a kiedy twoja obecność jest niezbędna. Potrzebuję cię w Portugalii.

- Nie, Jefferson - rzekła, zastanawiając się, dlaczego w ogóle to powtarza. Nigdy nie słyszał niczego, czego nie chciał słyszeć. - Hotel może ci zapewnić asystentkę albo możesz zabrać ze sobą Georgię.

- Georgię? - Jego oburzenie aż odbiło się echem.

No dobra, przesadziła, Georgia się nie nadawała, ale naprawdę nikogo nie potrzebował.

- Wszystko jest przygotowane, musisz tylko podpisać papiery, przejść po statku i przykleić logo Lyon na kadłubie. Po co ci tam jestem potrzebna?

- Ponieważ - mówił niskim głosem - płacę ci za to, żebyś była tam, gdzie cię potrzebuję i wtedy, gdy cię potrzebuję. To jest twoja praca, Caitlyn.

W głowie jej szumiało, serce pompowało krew w zawrotnym tempie, a żołądek fikał koziołki. Jej praca. Sama przyznawała, że bardzo dobra. Dobrze zarabiała, miała własny dom, właściwie mieszkanie, ale własne, i świetnie się znała na swojej robocie.

Jednak gdzieś po drodze stała się, zwłaszcza dla Jeffersona, sprzętem biurowym, czymś w rodzaju kopiarki. Nie spodziewała się oczywiście, że entuzjastycznie przyjmie informację o jej urlopie, ale nie myślała też, że

zachowa się jak palant. Inni ludzie brali urlopy, mieli wakacje, jakieś życie, dlaczego ona nie?

Jefferson Lyon był człowiekiem, który się spodziewał, że wszystko wokół niego będzie ustawione, jak sobie zażyczy. Przyzwyczajony był do tego, że idzie przez życie, wydając rozkazy, a inni je wykonują. I to szybko. Peter był do niego podobny, tylko na mniejszą skalę. Silny, milczący, władczy.

- Wiesz - zaczęła, ledwie słyszalnym głosem, bo mówiła w zasadzie do siebie - mogłam to od dawna przewidzieć, ale nie chciałam.

- Co przewidzieć?

Spojrzała na niego i zauważyła w jego oczach zmieszanie, a na twarzy zdenerwowanie. Co jest takiego w tym mężczyźnie? Działał na nią na tylu poziomach. Ale Peter też. Gdy teraz się nad tym zastanowiła, musiała przyznać, że do Petera przede wszystkim przyciągnęło ją to, że przypominał... Jeffersona.

- Czy jesteś w stanie jakiegoś zamroczenia? - spytał.

- Przeciwnie, mam wrażenie, że właśnie przejrzałam.

- Dobrze, to może popracujemy.

- Chodzi o męski typ alfa - mówiła, przekrzywiając głowę, żeby mu się przyjrzeć jak preparatowi na szkiełku pod mikroskopem. - To występowało cały czas. Peter. Ty. Nawet moi bracia.

- O czym ty mówisz?

- O odkryciu. Zabrało mi to dużo czasu, ale właśnie zrozumiałam. I mam dosyć was, mężczyzn typu alfa. Chcę łagodnego, miłego w pożyciu faceta typu beta. Żadnych silnych, milczących, władczych typów. Chcę kogoś miłego. Słodkiego. Wrażliwego.

- To chyba golden retriever - skrzywił się.

- To oczywiste, że ty tak uważasz.

- Posłuchaj - Jefferson wsadził ręce w kieszenie spodni - jakoś odeszliśmy od głównego tematu. Uwierz mi albo nie, nie interesuje mnie twoje życie prywatne. Możesz sobie robić, co chcesz, jak wrócimy z Portugalii.

- O, dziękuję.

- A teraz, jak już to ustaliliśmy, jest jeszcze parę spraw do zrobienia, zanim wyruszymy na lotnisko. Zadzwoń do pilota, powiedz, żeby był gotowy za godzinę, a potem skontaktuj się z naszym biurem na Florydzie. Powiedz, że będę tam w piątek. I odwołaj moje spotkania na następne dwa dni, bo nie wiem, jak długo będę w Seattle i...

Patrzyła, jak się obrócił i poszedł przez świat według Jeffersona. Kompletnie nic nie dotarło do tego zakutego łba. Ona zacisnęła zęby i nim zdołała się zastanowić i powstrzymać, rzuciła krótko:

- Nie.

Zatrzymał się w miejscu i uniósł jedną brew.

- Nie?

Znów wzięła głęboki oddech i żeby nie słuchać głosu rozsądku, postanowiła działać szybko. Otworzyła dolną szufladę biurka i wyjęła z niej swoją torebkę. Przewiesiła ją przez ramię i schwyciła swój żakiet.

- Zgadza się. Powiedziałam: nie.

- Caitlyn, zniosłem już wszystko, co byłem w stanie na jeden poranek.

- A ja dałam z siebie już wszystko, co mogłam dać - odparowała.

Opanowywała ją wściekłość, odcinając wszelkie logiczne myślenie, i może tak było najlepiej. Gdyby ochłonęła, mogłaby się zacząć zastanawiać i nigdy nie zrobić tego, co chciała. - Mam dosyć.

Zaśmiał się. Naprawdę się zaśmiał, po czym spytał:

- O czym ty mówisz?

- Odchodzę.

Był tak zdumiony, jakby mu powiedziała, że urodziła dziecko Marsjanina.

- Nie możesz odejść.

- Właśnie to zrobiłam. - Położyła jedną rękę na swoim galopującym sercu i poczuła, jak się uspokaja. Jakby ktoś wylał olej na wzburzone morze. Dziwne. Czekala na jakiś atak paniki, ale nie nadszedł. I mimo że zawsze bardzo lubiła

swoją pracę, w tym momencie czuła, że postępuje właściwie, odchodząc. -
Zrobiłam to. Odeszłam.

Nie miała pojęcia, skąd się wziął w niej ten duch niezależności. Może wstąpił w nią, gdy Peter zerwał ich zaręczyny? A może wtedy, gdy jej narzeczony zasugerował, że ona się kocha w swoim szefie? A może tylko to proste odkrycie, do którego doszła zaledwie chwilę temu? W każdym razie Caitlyn czuła w kościach, że podejmuje właściwą decyzję.

Musi zacząć od nowa. Swoje życie. Swoją karierę. Nigdy do tego nie dojdzie, jeżeli będzie się trzymała Jeffersona Lyona. Ten człowiek był zbyt władczy, zbyt przyciągający i cholernie seksowny.

Peter mylił się, twierdząc, że ona się kocha w Jeffersonie, ale musiała przyznać, że ją pociągał. A jak miałyby wyprostować swoje życie, przebywając w pobliżu człowieka, w którego obecności miała nogi jak z waty?

- To wszystko z powodu wakacji?

- Nie, Jefferson. Z powodu pracy dla człowieka, który widzi we mnie tylko wygodne urządzenie.

Zmarszczył się i zmrużył niebieskie oczy, które nagle pociemniały. Na moment jej odwaga stopniała. Wtedy zadzwonił telefon na jej biurku i odruchowo go podniosła.

- Lyon Shipping.

- Caitlyn, kochanie, to znowu Max. Zapomniałem jeszcze czegoś powiedzieć twojemu szefowi.

Zaciskając zęby, powiedziała:

- To już nie jest mój szef, Max, ale już ci go daję.

- Co? Co takiego? - usłyszała głos Maksa, podając słuchawkę Jeffersonowi.

- Caitlyn - powiedział Jefferson, odkładając słuchawkę bez zamienienia słowa ze swym zaprzyjaźnionym wrogiem.

- Nie pozwolę ci tak po prostu odejść.

- Nie możesz mnie zatrzymać, Jefferson - odpowiedziała i wyszła, póki potrafiła od niego odejść.

Kilka godzin później Jefferson spacerował, podenerwowany, po olbrzymim domu swego ojca w Seattle. Za wysokimi od podłogi do sufitu oknami gabinetu wisiało szare niebo i pluło na miasto deszczem, jakby miało do niego jakąś osobistą urazę.

- Jak usiądziesz, będziemy mogli podpisać te papiery i skończyć z tym - powiedział ojciec, przyglądając się jego spacerom po pokoju. - Za godzinę gram w golfa.

- W golfa? - spytał z niedowierzaniem Jefferson, wskazując za okno.

Harry Lyon wzruszył ramionami.

- Spotykam się z przyjaciółmi w klubie. Mama wyjechała na tydzień do Nowego Jorku... - Spojrzał uważniej na syna. - Co cię gryzie?

- Caitlyn odeszła dziś rano.

- Twoja sekretarka?

- Asystentka.

Harry machnął ręką na te subtelnosci.

- Dlaczego miałyby odejść? Była bardzo dobra w tej robocie.

- Wiem - mruknął Jefferson, wpychając ręce w kieszenie i spoglądając przez okno na deszcz.

Przez ostatnich kilka godzin o niczym innym nie myślał. Podczas krótkiego lotu do Seattle prześledził w myślach ich sprzeczkę i w dalszym ciągu nie rozumiał, dlaczego odeszła. To było do niej niepodobne.

Chociaż dzisiaj rano zobaczył Caitlyn od zupełnie innej strony. Nigdy przy nim nie dawała się ponieść nerwom, zawsze była wzorem profesjonalizmu. Ta burza zupełnie go zaskoczyła, a nie było to łatwe.

- I co masz zamiar z tym zrobić? - spytał ojciec.

Jefferson spojrzał na niego.

Od przejścia na emeryturę ojciec nigdy nie wyglądał na bardziej zadowolonego. Mimo, a może właśnie z powodu ataku serca, który przeszedł kilka miesięcy temu, Harry Lyon postanowił cieszyć się życiem. Właśnie dlatego chciał, żeby Jefferson przyleciał. Przekazywał mu kompletne zarządzanie rodzinną firmą. W innych okolicznościach Jefferson bardzo by się z tego ucieszył, bo od lat ciężko na to pracował, ale dziś za bardzo pochłonięty był zdradą Caitlyn.

- No więc? - zagadnął Harry ze swego skórzanego fotela.

Co mógł zrobić? Miał tylko jedną odpowiedź. Musi ją odzyskać. Jefferson Lyon nie przegrywa. Nawet nie ma takiego słowa w jego słowniku. Nikt go nie zostawia. Ta kobieta była zbyt cenna dla jego firmy, wszystko wiedziała.

I z kim porozmawia jutro rano?

- Odzyskam ją - odpowiedział ojcu, szukając już w myślach sposobu. Podwyżka? Może. Dłuższy urlop? Skrzywił się. To w tej chwili drażliwy punkt. Awans? Niezłe. Ale poprawa warunków pracy to za mało, żeby przekonać Caitlyn do powrotu. To musiałyby być... Uśmiechnął się do siebie, gdy postanowił, co ma zamiar zrobić w sprawie Caitlyn.

- Chciałbym się dowiedzieć, jaki masz plan. - Harry skrzyżował ręce na brzuchu.

Jefferson uśmiechnął się do ojca, ale nie miał zamiaru wprowadzać go w szczegóły. Nie pochwaliby tego. Nie zrozumiałby, że jedynym sposobem było przekonanie jej, że to jej własny pomysł.

Jedno, na czym Jefferson Lyon znał się na pewno, to kobiety. Będzie z nią romansował, uwiedzie ją, obsypie biżuterią, a później zachowa się jak pajac i ona z nim zerwie. Potem będzie się z tym źle czuła i uzna, że powinna wrócić do pracy.

- Nie martw się, tato. - Uśmiechnął się do mokrego od deszczu okna. - Mam swoje sposoby.

Teraz, gdy była... hmm... bezrobotna, Caitlyn nie widziała potrzeby, żeby siedzieć w domu. Zadzwoiła do kurortu, dokąd wybierały się później z przyjaciółkami i cudem dostała pokój, z którego ktoś zrezygnował. Kolejny znak z niebios, że postąpiła właściwie.

Czuła się bardzo wyzwolona, przeciwstawiając się Jeffersonowi, choć teraz nabrała wątpliwości. Zaoszczędziła trochę, więc była spokojna o pieniądze na kilka następnych miesięcy, ale nigdy jeszcze nie była bez pracy. Było to dziwne uczucie, że nie musi być nigdzie o konkretnej godzinie.

Kiedy wysiadła z taksówki i stanęła przed budynkiem Fantazji, powtórzyła sobie, że postąpiła właściwie. Miała tylko nadzieję, że sama w to uwierzy. Na razie zamknęła mieszkanie i poleciała na wyspę prawie dwa tygodnie przed przyjaciółkami.

Janine i Debbie bardzo ją wspierały. Pochwaliły jej rezygnację i obiecały być w kontakcie, zanim same nie przyjadą do Fantazji.

Łagodna morska bryza owiewała jej skórę i przynosiła zapach morza i kwiatów porastających luksusowe uzdrowisko. Wdychała głęboko, smakując wolność.

- Czy mogę zanieść pani walizkę? - Obróciła się i zobaczyła wysokiego, przystojnego mężczyznę w uniformie hotelu, czerwonej koszuli i białych spodniach. - Witam w Fantazji - uśmiechnął się. - Wniosę pani walizkę.

- Dziękuję.

Weszła za nim, rozglądając się na lewo i prawo i podziwiając gęste klomby po obu stronach przejścia. Ich zapach i szum fontanny koili nerwy Caitlyn. Kiedy znalazła się w holu recepcji, stanęła nagle i patrzyła. Zachwycające. Podłoga z niebieskiej terakoty sprawiała wrażenie, jakby się chodziło po wodzie. Na wielkiej przestrzeni ustawiono w grupkach białe trzcinowe fotele z czerwonymi poduszkami, obok nich stoliki o szklanych blatach, a na nich kryształowe wazoniki z różnokolorowymi kwiatami. Biurka recepcji stały na długich akwariach z roślinami i kolorowymi rybkami, a ludzie,

obsługujący komputery i telefony, wydawali się równie piękni jak otoczenie. Ubrani byli w czerwone koszule i białe spodnie i prezentowali uśmiechy, które mogłyby stanowić dumę każdego ortodonta.

Kiedy poczęstowano ją szampanem, zanim się zarejestrowała, odetchnęła z zadowoleniem i opuściły ją wątpliwości. Będzie miała jeszcze dosyć czasu, żeby się martwić opuszczeniem Lyon Shipping, a jeszcze więcej, żeby się martwić znalezieniem nowej pracy.

Jednak już dwa dni później Caitlyn stała się trochę niespokojna. Starła się zwalczyć to uczucie. Wyciągnęła się na leżaku w biało-czerwone wzory, obok postawiła napój tropikalny w wysokiej szklance, odłożyła książkę na brzuch i wpatrywała się w wodę. Za plażą z bielutkim piaskiem rozciągały się kilometry oceanu, a leciutki wiaterek łagodził upał. Piękno tego miejsca powinno uspokajać.

Tymczasem ona wciąż wracała myślami do Jeffersona i przypominała sobie wyraz jego twarzy, kiedy powiedziała, że odchodzi. Uświadomiła sobie, że teraz, kiedy nie będzie już u niego pracowała, może go już nigdy nie zobaczyć.

Chyba tak powinno być. Przecież nic ich nie łączy, prócz pracy. Dlaczego więc nie czuła się szczęśliwa?

- Martwię się - powiedziała przez telefon komórkowy, popijając delikatny alkoholowy napój.

- Czym? - chciała wiedzieć Janine. - Jesteś w najslynniejszym kurorcie na tej planecie, obsługują cię jak królową, jesteś młoda, wolna i na pewno masz kilkunastu mężczyzn w zasięgu ręki.

- Fakt - przyznała Caitlyn, prześlizgując się wzrokiem po piasku i obserwując opalone ciała albo leżące, albo grające w siatkówkę.

- Więc czym się martwisz?

- Jeffersonem - przyznała, jęknąwszy. Zostawiła go tak nagle, że było to naprawdę nie w porządku. Nie należało odchodzić bez złożenia oficjalnego

wymówienia. Przecież jest profesjonalistką. - Po prostu odeszłam, Janine. Zosta-
wiłam go na łodzi, bez nikogo, kto mógłby to dalej prowadzić.

- Zasłużył sobie na to - podsumowała przyjaciółka, po czym zwróciła się
do kogoś innego: - Nie układaj tej gipsówki razem z hortensją! Czyś ty się w
stodole chował?

- Caitlyn się uśmiechnęła. Janine była główną florystką w znanej
kwiaciarni, zawsze zajęta. - Naprawdę, Cait, Lyon Shipping to już nie twój
problem. Co to za wakacje, jeżeli myślamy wciąż jesteś tutaj, w Long Beach?

- Masz rację, wiem, że masz rację - odpowiedziała i łyknęła zimnego
napoju, który mile chłodził jej wnętrze, rozpalone natychmiast na myśl o
Jeffersonie. - Ale, Janine...

- Żadnego ale - przerwała. - Wyjdź, poznaj jakichś ludzi, konkretnie
mężczyzn. Upij się, prześpij się z którymś. Wymaż z pamięci Jeffersona Lyona.

Piłka do siatkówki obsypała ją piaskiem, nim wylądowała na jej brzuchu.

- Hej!

- Co takiego? - spytała Janine.

- Zostałam zaatakowana przez piłkę - mruknęła Caitlyn, a właściciel piłki
już podbiegał z uśmiechem na cudownej twarzy.

- Bardzo przepraszam - kajał się. - Jestem Chad. Czy mogę pani postawić
drinka na przeprosiny?

- Och, nie musi pan...

- Ani się waż go odprawiać - ostrzegła Janine z odległości kilku tysięcy
kilometrów. - Po to tam pojechałaś, żeby się zrelaksować, żeby trochę pożyć.

- Uhm - odpowiedziała Caitlyn, słuchając Janine i obserwując cudnego
chłopaka z plaży.

- Jest fajny? - pytała przyjaciółka.

- Uhm. - Jak gwiazdor filmowy.

- W porządku? - spytał.

- W porządku - zapewniła.

- Caitlyn Amando Monroe, nie bądź idiotką - zirytowała się Janine. -

Pamiętaj, że po to tam jesteś.

Pamiętała. Ma się zrelaksować. Poznać nowych ludzi. Mężczyzn. Nie ma na co czekać.

- Cześć, Chad. - Uśmiechnęła się. - Jestem Caitlyn. I chętnie pójdę na drinka.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Caitlyn miała około pół godziny, żeby wziąć prysznic i przebrać się przed spotkaniem z Chadem w barze. Biegając do pokoju, szukała w kieszeni karty do otwierania drzwi. Nie powinna była się umawiać z tym facetem. Gdyby nie fakt, że Janine była przy telefonie, na pewno by tego nie zrobiła.

Nie była w tej chwili w zbyt towarzyskim nastroju. I nie chodziło o to, że nie miała ochoty poznawać nowych ludzi, rodzaju męskiego, ale była zbyt pochłonięta myśleniem o Jeffie, żeby docenić inne towarzystwo, nawet kogoś tak fantastycznego jak Chad.

- To jest chore i porąbane - mruknęła do siebie, rzucając płócienną torbę na łóżko. - Dlaczego w ogóle myślę o swoim byłym szefie? Nie ma go. Znikł z twojego życia. Kaput. *Adios, amigo. Sayonara. Ciao. Arrivederci.*

- To były dwa po włosku.

- Matko! - Caitlyn złapała się za szyję, obróciła na pięcie, straciła równowagę i wylądowała na łóżku. Z bijącym sercem wpatrywała się w Jeffersona, który spokojnie wyszedł z jej łazienki. Towarzyszył mu obłok pary, która wpadła przez otwarte drzwi i nadawała mu nieco niezwykły charakter. Nagie ciało przewiązał ręcznikiem na biodrach, co też nie poprawiało sytuacji.

Miał mokre włosy, a krople wody wciąż spływały po jego opalonej, znacznie bardziej umięśnionej, niż się spodziewała, klatce piersiowej.

Przenikliwe niebieskie oczy wpatrywały się w nią, a pełne usta zastygły w półuśmiechu, gdy udało jej się uzyskać pozycję siedzącą.

- Niespodzianka.

- Niespodzianka? Co to ma znaczyć, niespodzianka? Co ty tu robisz? -

Uniosła rękę, gdy jej serce już trochę się uspokoiło.

- Co robisz w moim pokoju? Jak się tu dostałeś?

Jefferson wzruszył ramionami, a Caitlyn nie mogła się powstrzymać, żeby nie spojrzeć na grę jego mięśni przy tym ruchu. W każdym razie starała się patrzeć powyżej ręcznika. I tak groziło to poważnymi kłopotami. Nie, nie była zakochana w swoim szefie, ale z pewnością go pożądała. A żadna kobieta na widok takiego ciała z ręcznikiem wokół bioder i kilkoma kroplami wody na piersiach nie pozostałaby obojętna.

- Przyjechałem, żeby cię przywieźć z powrotem do domu - oznajmił. - Z powrotem do Long Beach. I do firmy.

Oczywiście, że tylko o to mu chodziło. Co za idiotka! Wziął prysznic w jej pokoju, bo po prostu musiał wziąć prysznic. Nie oznaczało to, że jest tutaj dla niej. Oczywiście, myślał o tym co zawsze. O sobie.

- Ja odeszłam, pamiętasz?

Zaśmiał się, a jego śmiech odbił się echem po jej obszernym, eleganckim pokoju.

- Nie możesz odejść, Caitlyn. Praca jest twoim życiem. Nie możesz odejść od swojego życia.

- Wtedy to było wtedy, a teraz jest teraz. Zaczynam nowe życie.

- Beze mnie. I bez Lyon Shipping.

- Taki mam plan. - Myślenie o nim przez ostatnie dwa dni nijak się miało do tego planu.

- Mmm, ciekawe.

- Daj spokój, Jefferson - powiedziała, żeby już skończył temat. - Nie przyjechałeś tutaj po to, żeby mnie namawiać na powrót do pracy, którą zostawiłam. Dlaczego naprawdę tu jesteś?

- Po twoim wyjeździe - zaczął, podchodząc do niej bezszelestnie po puszystym błękitnym dywanie - zrozumiałem coś.

Cofnęła się na łóżku, aby zachować dystans, ale gdy pomyślała o nim, takim nagim, na jej łóżku zerwała się, jakby ją ukuła sprężyna.

- Tak? Co zrozumiałeś?

- Że potrzebuję wakacji.

- Jasne - potwierdziła, kręcąc z niedowierzaniem głową. - Nigdy nie miałeś urlopu. Jedyne, co cię do niego zbliżało, to latanie za mną po świecie, żeby zrujnować mój urlop. Poza tym, czy nie powinienes być teraz w biurze i męczyć jakiś personel, żeby finalizował szczegóły twojego wyjazdu do Portugalii?

- Masz rację. Nigdy nie brałem urlopu, więc czas najwyższy. A jeśli idzie o rujnowanie ci wakacji w przeszłości, to nie mam zamiaru teraz tego zrobić. Jestem tutaj dla przyjemności.

- Przyjemności?

- Jeśli idzie o wyjazd do Portugalii, moja wyjątkowa asystentka o wszystko już zadbała.

Nazwał ją „wyjątkową”! Musi mu o coś chodzić. Chciałaby tylko wiedzieć o co.

- A poza tym - znów zademonstrował wyjątkową muskulaturę - tęskniłem za tobą.

Caitlyn prychnęła. Bardzo nieelegancko, wiedziała o tym, ale nie mogła się powstrzymać. Tak, na pewno coś kombinował.

- Tęskniłeś za mną. Jasne, tęskniłeś za tym, żeby ktoś pośredniczył między tobą a firmą. To dopiero kilka dni, Jefferson.

Ona już przez ten czas za nim tęskniła.

- Nie chodzi o pracę, Caitlyn - wydusił, wpatrując się w nią tak intensywnie, że czuła, jakby powietrze między nimi skwierczało z gorąca. - Chodzi o nas.

Patrzyła na niego przez minutę. Wszystko było coraz dziwniejsze. Najpierw on, nagi, w jej pokoju hotelowym. Potem za nią tęskni, a teraz mówi o „nas”?

- Dobra, musiałam się chyba znaleźć w innym wymiarze - mruknęła, kręcąc głową i bawiąc się paskiem swojej plażówki. Na pewno jej nie zdejmie, żeby stanąć przed nim w kostiumie kąpielowym. Im więcej ma na sobie, tym lepiej. Ale skąd się u niej wzięło to dokuczliwe pożądanie? Czy to dlatego, że oboje byli z dala od scenografii biurowej? A może to ten ręcznik, w który był ubrany? Czy on się przypadkiem nie zsuwa? - Inny wymiar - bąknęła. - To jedyne wytłumaczenie. Chyba, że mam udar. Nie, nie udar. Może winda. Musiałam się znaleźć w pętli czasu. Może jak zjadę na dół, powrócę do własnego świata i nic dziwnego nie będzie się działo.

- Ale się dzieje - odezwał się takim głosem, że zadrżały wszystkie jej zakończenia nerwowe.

- Nie, nie dzieje - powiedziała zdecydowanie. Nie da się wciągnąć w jego grę. Nie wróci do pracy, musi się trzymać swoich postanowień i nie patrzeć na ten ręcznik. - Jefferson, zapomnijmy na moment, dlaczego tu przyjechałeś, ale jak dostałeś się do mojego pokoju?

Uśmiechnął się, a pod nią ugięły się kolana. Niedobry objaw.

- Szedłem za tobą.

- Tak, rozumiem. - Zmarszczyła się. - Ale skąd wiedziałeś, dokąd pojechałam?

- Dla człowieka z moją pozycją to nic trudnego znaleźć odpowiedzi na interesujące go pytania, Caitlyn.

Pewnie tak. Facet miał kontakty na całym świecie i dosyć pieniędzy, żeby płacić za informacje. Ale dlaczego zadał sobie tyle trudu? I jak, do diabła, dostał się do jej pokoju hotelowego?

- Dobra, znalazłeś mnie. Ale kto cię wpuścił do mojego pokoju?

Usiadł na skraju łóżka i ręcznik odsłonił jeszcze kawałek opalonego, umięśnionego uda pokrytego złocistym meszkiem. O Boże.

- Kiedy wyjaśniłem w recepcji, że moja żona przyjechała kilka dni przede mną, bez problemów dali mi klucz.

- Twoja żona? Tak im powiedziałaś? I uwierzyli ci?

- Oczywiście. - Oczywiście. Powiedział to jak coś zwyczajnego. Jasne, nazwisko Lyon miało takie znaczenie, że pewnie wpuściliby go do jej pokoju, nawet gdyby nie udawał jej męża. - Caitlyn - mówił dalej, zmuszając ją do skupienia się. - Nie było wolnych pokoi. Cały hotel jest zarezerwowany. Co miałem zrobić?

- Jechać do domu? - odpowiedziała, wyrzucając ręce w górę w geście beznadziei.

- Ale nie bez zobaczenia się z tobą.

Odchylił się i oparł na łokciach. Ręcznik znowu się odsunął, odchylając większą część uda. Cienki niebieski ręcznik osłaniał tylko to co najważniejsze.

Caitlyn przymknęła oczy, potarła miejsce między brwiami i policzyła do dziesięciu. Kiedy skończyła, policzyła do dwudziestu. Nie pomogło. Dalej była wściekła, trochę zszokowana i bardzo spragniona. Jego. Kiepska kombinacja.

Jefferson obserwował ją i żałował, że nie potrafi czytać w jej myślach. Sądząc po odbijających się na jej twarzy emocjach, myśli mogły być bardzo rozrywkowe.

Gdy zaczęła spacerować po pokoju, mówiąc do siebie, śledził ją wzrokiem. Słońce prześwitujące przez tańczące na wietrze firanki na drzwiach balkonowych oświetlało długie, smukłe nogi Caitlyn, opalone na kolor ciepłego miodu. Coś się w nim poruszyło i przypomniał sobie, że recepcjonista opisał ją

jako „tę z oszłamiającymi nogami”. Jefferson musiał przyznać, że facet miał rację. Dlaczego on nigdy nie zwrócił uwagi na jej nogi? W każdym razie teraz był tutaj z nią i rozpoczynał swój plan. Mógł czekać na nią na dole, ale spotkanie jej w taki sposób było znacznie bardziej... intrygujące. Nie miał żadnych problemów z dostaniem się do jej pokoju i gdyby był właścicielem tego hotelu, wyrzuciłby recepcjonistę, który pod wrażeniem nazwiska i pieniędzy Jeffersona dał mu klucz do pokoju gościa. Oczywiście do takiego gestu przekonał urzędnika fakt, że wykupił pozostałe pokoje, żeby nie mieć się dokąd przenieść.

- Nie możesz tu zostać - wydusiła w końcu.

- Nie ma wolnych pokoi.

- Więc idź kupić dom.

- To prywatna wyspa - przypomniał.

Wzięła się pod boki, uniosła głowę i spojrzała na niego piorunującym wzrokiem.

- To nie mój problem.

- No wiesz, czy tak mówi żona do męża?

- Nie mogę uwierzyć, że tak powiedziałaś. Dziwię się, że w ogóle wykrztusiłaś słowo „żona”.

Jefferson zerwał się z łóżka. Poczuł, że ręcznik się zsuwa, i poprawił go. Zauważył zainteresowanie w spojrzeniu Caitlyn. Uśmiechając się, powiedział:

- Ale to zrobiłem i teraz już jesteś na mnie skazana.

- Nie licz na to - zaprotestowała i podeszła do telefonu na nocnym stoliku.

- Zadzwoń do recepcji i powiem, że skłamałaś.

Skrzyżował ręce na piersiach.

- A ja im powiem, że to sprzeczka kochanków.

- Nie uwierzą ci.

- Potrafię być bardzo przekonujący.

Miał ochotę się uśmiechnąć, czując jej wściekłość. Widział, że kombinuje, jak wybrnąć z tej sytuacji. W końcu dała za wygraną:

- No, świetnie. Na pewno trzymaliby twoją stronę i w końcu mnie wyrzucili z mojego pokoju i dali go tobie.

- Och - oburzył się Jefferson, świetnie się bawiąc. - Nigdy bym się nie zgodził, żeby tak potraktowano moją żonę.

- Straszny z ciebie palant.

- Jakie czułości - uśmiechnął się.

- Nie wiem, co kombinujesz, Jefferson, ale cokolwiek to jest, to ci się nie uda.

- O co ci chodzi? Boisz się zostać ze mną sama?

- To śmieszne.

- Naprawdę? - Uniósł jedną brew. - Więc nie ma problemu.

- Dobra. Możesz tu zostać, póki nie znajdą ci pokoju.

A to się nieprędko zdarzy, o czym Jefferson najlepiej wiedział.

- Ale będziesz spał na podłodze.

- Więc jednak się mnie boisz. Albo siebie ze mną.

- Twoje ego jest przerażające.

- Dziękuję.

- Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę - mruknęła.

- Ależ Caitlyn - zaczął, podchodząc do garderoby, w której obok jej ubrań wisiało już te kilka rzeczy, które zdążył zabrać w tę nagłą podróż. - Nie będziemy przecież zaczynać tych wakacji od kłótni, co?

- Co robisz? Spojrzał przez ramię.

- Ubieram się.

- Tutaj?

- No, a gdzie? - Opuścił ręce i rozwiązał ręcznik. Nim opadł, Caitlyn uciekła do łazienki.

- Ubieraj się i wychodź. Muszę się przygotować na randkę.

- Randkę?

Staneła w drzwiach łazienki i posłała mu uśmiech pełen satysfakcji.

- Tak, randkę. Dobrze się bawię na naszych wakacjach.

Zamknęła drzwi, a on wreszcie opuścił ręcznik. Była tu od dwóch dni i już miała randkę? Nie bardzo to pasowało do jego planów uwodzenia, ale wytłumaczył sobie, że zostając w jej pokoju, wygrał pierwszą rundę. Ona po prostu o tym nie wiedziała.

Poza tym, pomyślał, ubierając się, to, że szła na randkę, nie oznaczało, że długo na niej będzie.

Caitlyn uśmiechnęła się do Chada, gdy zabawiał ją kolejną opowieścią o swoich zdolnościach handlowych. Już prawie zasypiała z otwartymi oczami, gdy spytał:

- Uwierzysz? Sprzedałem te akcje z jedną ósmą procent zysku.

Najsprytniejsza umowa, jaką mi się udało załatwić. - Westchnął i odchylił się w fotelu, z lubością wspominając swój sukces. - Nie ma nic bardziej obłądnego niż rynek giełdowy.

- Brzmi fascynująco. - Schwyciła swoją szklankę i pożałowała, że jest pusta. Czy byłoby bardzo niegrzecznie, gdyby dała znak kelnerowi, prosząc o powtórkę? Bez znieczulenia nie zniesie więcej słuchania tego.

Przypomniały jej się słowa mamy, kiedy ją ostrzegała przed przystojnymi mężczyznami: „Czasami, kochanie, Pan Bóg coś daje, a coś zabiera. Wiele razy za piękną twarzą kryje się pusta głowa”. Nie znosiła, kiedy mama miała rację.

- Cześć.

Caitlyn podskoczyła na krzeselku, obejrzała się przez ramię i sama nie mogła uwierzyć w to, jak bardzo się ucieszyła na widok Jeffersona stojącego tuż za nią. Oczywiście, nie mogła tego okazać, bo chciała, żeby uważał, że świetnie się bawi bez niego.

- Cześć - odpowiedział Chad, zmieszany.

Jefferson nachylił się i pocałował ją w policzek. Zanim skóra przestała ją parzyć, uśmiechnął się do Chada i wyciągnął rękę.

- Caitlyn, kochanie - odezwał się rozkosznie - nie mówiłaś mi, że ktoś nam będzie towarzyszył przy drinkach. Przepraszam, że tak długo wisiałem na telefonie, ale wiesz, jak to bywa z tymi rozmowami biznesowymi.

- Mhm... - Patrzyła, jak zajął miejsce obok niej, dał sygnał kelnerowi, po czym objął ją ramieniem. Caitlyn usiłowała się wyswobodzić, ale przytrzymał ją mocniej.

Mężczyzna siedzący naprzeciwko nich patrzył zupełnie skołowany, czemu Caitlyn wcale się nie dziwiła.

- A więc, kochanie - spytał Jefferson - kim jest twój przyjaciel?

- Na imię ma Chad.

- Naprawdę? Chad?

- Jefferson - mruknęła Caitlyn.

- Słuchaj - powiedział zduszonym głosem Chad, gdy kelner, który pojawił się, żeby przyjąć zamówienie Jeffersona, znikł. - Nie wiem, co tu jest grane, ale Caitlyn i ja umówiliśmy się na drinka i...

- Umówiliście się? - Zaśmiał się Jefferson, ale jego rozbawienie nie udzieliło się Chadowi, czemu Caitlyn znów się nie dziwiła. Jej też to nie bawiło, chociaż poczuła ulgę, gdy Jefferson się pojawił.

- Co w tym śmiesznego? - chciał wiedzieć Chad, lekko poczerwieniały na twarzy.

- Nic. - Uśmiech znikł z twarzy Jeffersona, a z oczu pozostały niebezpieczne niebieskie szparki. - Zawsze mnie bawi, jak jakiś mężczyzna uważa, że umówił się na randkę z moją żoną.

- Twoją żoną? - Chad wstał i rzucił Caitlyn pytające spojrzenie.

- Jefferson, Chad...

- Nie nosisz obrączki. - Ciemny, atrakcyjny i potwornie nudny facet spojrzał na Jeffersona. - Nic nie mówiła, że ma męża.

- No, trochę się pokłóciliśmy wcześniej i pewnie wciąż jest na mnie zła. Prawda, kochanie? - Przyciągnął ją i szybko pocałował. Usta ją paliły, w gardle zaschło.

- Nie chciałem jej...

- Rozumiem. - Jefferson zwrócił się teraz do mężczyzny bardzo uprzejmie: - Moja żona jest piękną kobietą, więc nic dziwnego, że chciałeś ją poderwać. A teraz, jeżeli moglibyśmy cię przeprosić...

Chad zniknął tak szybko, że rozejrzała się, czy z jego butów nie leciały iskry. Została sama z Jeffersonem.

- Dlaczego to robisz?

- To znaczy, ratuję cię przed nudą? Jestem wielkim dobroczyńcą.

- Skąd wiesz, że się nudziłam? - odparowała. - Chad był fascynujący.

Naprawdę chłonełam każde jego słowo.

- Miałaś zamglone oczy, a twoje ciało wskazywało na zbliżający się stan nieprzytomności.

Udawanie dłużej nie miało sensu. Gdyby nie Jefferson, słuchałaby jeszcze całymi godzinami.

- W porządku, przyznaję. Jeszcze nigdy w życiu się tak nie nudziłam.

- A czego się spodziewałaś? - uśmiechnął się. - Facetowi na imię Chad.

Co to w ogóle za imię?

Caitlyn zachichotała.

- Przestań. Na plaży wydawał się bardzo miły.

- Aha, więc poznałaś go na plaży. I spodziewałaś się, że będzie fascynujący. Chyba udar słoneczny.

- Jest bardzo przystojny.

- Ja też. Pokręciła głową.

- Nie zapominaj o wyrazie skromny.

- Oczywiście.

Oparł się łokciami o szklany blat stolika i spojrzał jej w oczy. Wszystkie stoliki były zajęte, bo goście hotelowi zbierali się tutaj, żeby podziwiać zachód słońca. Żywe kolory odbijały się na powierzchni oceanu. Z dyskretnie ukrytych głośników dochodziła przytłumiona muzyka, coś bluesowego.

Błękitne oczy Jeffersona wpatrywały się w nią i gdyby nie wiedziała, że coś kombinował... Ale wiedziała i to się liczyło. Starła się ignorować romantyczną atmosferę i fakt, że jej usta wciąż czuły ten zbyt szybki pocałunek, którym ją uraczył ze względu na Chada.

- Jefferson - zwróciła się do niego, gdy kelner przyniósł jej kolejne malinowe martini. - Powiedz mi, o co naprawdę chodzi.

Nachylił się bliżej, wciąż wpatrując się w jej oczy, aż poczuła napływającą falę gorąca.

- Dlaczego jest ci tak trudno uwierzyć, że jestem tutaj, bo za tobą tęskniłem? Bo zdałem sobie sprawę z tego, że jesteś kimś więcej niż moja asystentką? Że jesteś ważna.

Caitlyn z wolna wypuściła powietrze, uniosła kieliszek i upiła łyk lodowatego napoju. Nie ochłodził wewnętrznego gorąca, ale rozluźnił ściśnięte gardło.

- Pracowaliśmy razem przez trzy lata. Jeżeli jestem taka ważna, dlaczego zabrało ci tyle czasu, żeby to zauważyć?

- Bo uderzyło mnie to dopiero po twoim wyjeździe. - Wyciągnął rękę przez stolik i gładził powoli jej dłoń. - Jesteś... ważna dla mnie, Caitlyn.

Serce jej podskoczyło do gardła. Gdyby choć na moment przypuszczała, że mówi prawdę, przeskoczyłaby przez stolik i pocałowała go, tak jak od dawna o tym marzyła. Ale jak może w to wierzyć? Jak może wierzyć facetowi, który zmienia kobiety jak koszule, że nagle zapragnął właśnie jej?

Oswobodziła rękę i pokręciła głową.

- Nie, Jefferson, cokolwiek kombinujesz, ja się na to nie dam nabrać.

- Teraz - powiedział, wstając i podciągając ją za rękę - kombinuję, żeby się udać na plażę na spacer o zachodzie słońca. Pójdiesz ze mną, czy za bardzo się przy mnie denerwujesz?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie poszła z nim na wieczorny spacer. Nie żałowała go, gdy narzekał, próbując zasnąć na za krótkiej kanapie. Nie miała poczucia winy, kiedy wyciągała się wygodnie w swoim za dużym łóżku, chociaż może wolałaby mieć w nim towarzystwo.

Caitlyn знаła Jeffersona zbyt dobrze. Coś kombinował, czy był skłonny się do tego przyznać, czy nie. Nie był typem, który uganiałby się za niesubordynowanym pracownikiem albo wkraczał w jej życie bez swojego celu. A cokolwiek planował, nie miała zamiaru mu tego ułatwić. Skończyła z Lyon Shipping i Jeffersonem Lyonem. Żeby tylko wyjechał, bo inaczej nie uda jej się zachować zdrowego rozsądku. Trzy dni jego nieustannego towarzystwa, nieustannego nadskakiwania sprawiły, że zaczynała się podłamywać. Ten facet miał tyle uroku, że kiedy koncentrował go na jednej kobiecie, trudno było mu się oprzeć.

Gdy szła popływać, zaraz tam był. Kiedy się zatrzymała w barze na drinka, on też. Kiedy brała lekcje surfingu i spędzała więcej czasu w oceanie niż na desce, też tam był.

Dlatego właśnie, żeby się pozbyć jego towarzystwa, wybrała się rano na spacer do wioski, którą właściciel Fantazji wybudował dla swoich pracowników. Jedynymi ludźmi na tej prywatnej wysepce byli goście hotelowi i pracownicy, którzy mieszkali w domkach jak z pocztówki, porozrzucanych po wyspie. W wiosce znajdowały się sklepy z artykułami codziennego użytku i z pamiątkami, które kusily turystów, aby wydali tam resztę pieniędzy, pozostałych po zapłaceniu rachunków hotelowych.

Jedynymi dozwolonymi pojazdami były wózki elektryczne i rowery, więc główna ulica była prawie pusta i idealnie czysta. Chodniki były starannie zamiecione, ozdobione skrzynkami z kwitnącymi roślinami, oszłamiającymi kolorami i zapachem. Okna wystawowe błyszcząły i prezentowały wszystko, od najmodniejszych ubrań, po artystyczną biżuterię. Turyści, z aparatami fotograficznymi i kamerami, spacerowali, obciążeni kolorowymi torbami z prezentami.

Caitlyn nie zwracała na to uwagi.

- On mnie doprowadza do szału - zeznawała do telefonu komórkowego.

Janine westchnęła.

- Ma jakiś plan.

- No tak, tylko nie mam pojęcia jaki.

- Szkoda, że mnie tam nie ma, ale jeszcze nie mogę się wyrwać. A on wciąż mieszka w twoim pokoju?

- Sprawdziłam dzisiaj rano w recepcji, ale twierdzą, że jest pełno, więc nie ma się gdzie wynieść.

- Powinnaś go wyrzucić i niech sobie śpi przy basenie czy gdziekolwiek

- Nie, nie mogę tego zrobić.

- To co, ma ci zmarnować wakacje? Nic mu nie jesteś winna, Cait.

Odeszłaś, pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam, ale...

- Żadne ale - przerwała jej Janine. - Michael, jak nie przestaniesz ustawiać tych kwiatów, to cię nimi pobiję na śmierć. - Odetchnęła, po czym stwierdziła: - Jeżeli jak najszybciej nie znajdę się na tej wyspie, ta kwiaciarnia zamieni się w rzeźnię.

Caitlyn się roześmiała i zaraz poczuła się lepiej.

- Janine, nie jesteś typem brutala.

- Mogę się stać.

- Caitlyn! - Głęboki głos zawołał ją po imieniu i stanęła jak wryta.

- O Boże - szepnęła do telefonu. - Znalazł mnie.
- To mała wysepka - przypomniała jej Janine. - Chyba nie było tak trudno.
- Wygląda fantastycznie.

Przyjechał na wyspę w takim pośpiechu, że większość garderoby musiał kupić tutaj. Przyzwyczała się widzieć go w świetnie skrojonych trzyczęściowych garniturach, a tu, na wyspie, ubierał się tak, że wyglądał cudownie, ale tak... przystępnie.

Dzisiaj ubrany był w białe spodnie i ciemnoczerwoną koszulę, rozpiętą pod szyją, a Caitlyn aż swędziały palce, żeby dotknąć widocznego trójkąta opalonej skóry. Jego ciemnoblonde włosy pojaśniały już od słońca, a niebieskie oczy stały się jeszcze bardziej niebieskie. Przy uchu trzymał telefon komórkowy, a skrzywiona mina nie wróżyła nic dobrego dla osoby, z którą rozmawiał.

- Ziemia do Caitlyn! - Z trudem słyszała przyjaciółkę. - Weź się w garść, dziewczyno. Bądź silna. Nie pozwól mu się skrzywdzić.

- Oddzwonię później - przerwała jej Caitlyn i zamknęła telefon.

Jefferson zatrzymał się przed nią i pokazał ręką, żeby nic nie mówiła, a sam tłumaczył przez telefon z przesadną cierpliwością.

- Kontrakty Petersona są w teczce, Georgio. - Zrobił nieszczęśliwą minę i polecił: - Zobacz jeszcze raz.

Biedna Georgia, pomyślała Caitlyn. Konieczność rozmowy bezpośrednio z Jeffersonem sprawiała, że reagowała jeszcze bardziej nerwowo.

- Nie - stwierdził Jefferson, patrząc na Caitlyn, jakby chciał powiedzieć „To wszystko twoja wina, bo odeszłaś”.

- Nic mnie nie obchodzi, że już szukałaś i nie znalazłaś. Poszukaj jeszcze raz. Miały być przekazane do działu prawnego dziś rano. Jeżeli nie możesz znaleźć...

- Na miłość boską, daj mi ten telefon. - Caitlyn wyciągnęła rękę, a kiedy jej podał aparat, powiedziała: - Cześć, Georgio, tu Caitlyn. - Starsza pani

natychmiast zaczęła opowiadać o zepsutych kserokopiarkach, chorej sekretarce i trzech listach, które musi wysłać jeszcze przed końcem dnia. - Nie denerwuj się, dobrze? Wszystko będzie zrobione. Po pierwsze, musisz zanieść te kontrakty do działu prawnego. Kontrakty z Petersonem są w teczce, bo sama je tam włożyłam. Wszystko w porządku, zobacz jeszcze raz, ale się nie spiesz. Ja zaczekam.

- Ta kobieta jest zupełnie niekompetentna - mruknął Jefferson, wkładając rękę do kieszeni. Wyglądał jak król, który musi komuś odciąć głowę.

- Nie jest, tylko przez ciebie się denerwuje.

- A ja przez nią oszaleję.

- Bo jesteś taki nie... Georgio! - Uśmiechając się, Caitlyn skinęła do Jeffersona. - Dobrze, znalazłaś. Nie, nie martw się. Po prostu zanieś je sama do działu prawnego. Jest jeszcze dużo czasu. Proszę bardzo. Mnie też było miło z tobą porozmawiać. - Zamknęła telefon i oddała go Jeffersonowi, mówiąc: - Kryzys zażegnany.

- Tylko dlatego, że ty się włączyłaś.

- Ty też mogłeś to zrobić. - Odwróciła się i dalej szła wąską uliczką. Od czasu do czasu zatrzymywała się przed jakąś wystawą. Zerknęła na niego. - Po prostu nie umiesz rozmawiać z ludźmi.

- Słucham?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Ty wydajesz rozkazy, Jefferson, nie rozmawiasz.

- Jestem szefem.

- Wyobraź sobie, że wszyscy o tym wiedzą.

- Z wyjątkiem ciebie.

- Już nie jesteś moim szefem - przypomniała, ale poczuła w głębi jakieś małe ukłucie żalu. Postanowiła jednak cieszyć się słońcem na twarzy i chłodnym wiatrem od oceanu.

- A powinienem być - mruknął i skrócił krok, żeby iść obok niej. - Nie powinnaś odchodzić, Caitlyn. Ten telefon dowodzi, że trzymasz rękę na pulsie wszystkich spraw w firmie.

Musiała przyznać, że miło było to usłyszeć. Każdy lubi być doceniony. Szkoda tylko, że musiała odejść, żeby ją zauważył.

- Należysz do mnie, Caitlyn. Stała przed sklepem jubilerskim.

- Co takiego?

- Słyszałaś. Należysz do mnie. I do Lyon Shipping.

Idiotka, powiedziała do siebie w duchu, odwracając się od wystawy. Oczywiście, że mówił o pracy. Nie chodziło mu o to, że ją chciał dla siebie. Czy przyzna się do tego, czy nie, znalazł się na tej wyspie, bo brakowało mu wypróbowanej asystentki. Po prostu starał się ściągnąć ją z powrotem do pracy. Może się starać, ale nic z tego. Ona nie wróci do starego życia.

Teraz była nową, ulepszoną Caitlyn.

Jefferson przyglądał się jej twarzy i obserwował błyskawiczne zmiany nastrojów. Uśmiechnął się do siebie, gdyż nagle poczuł się na pewniejszym gruncie. Rozmowa z Georgią go wykończyła, a sposób, w jaki Caitlyn bez wysiłku załatwiła sprawę, upewnił go, że potrzebuje jej z powrotem, a nie robi postępów. Teraz jednak miał pewien pomysł.

- Na co patrzysz?

- Na to. - Postukała palcem w szybę. Złote kolczyki błyszcząły w słońcu kropelkami szmaragdu i topazu.

Wiedział natychmiast, co musi zrobić. Co powinien był zrobić od momentu przyjazdu na tę nieszczęsną wyspę. Chciał ją uwodzić, a nie denerwować. Trzeba było od razu wytoczyć najcięższe działa. Ale nigdy nie jest za późno, żeby zacząć.

- Chodź. - Schwycił ją za ramię i mimo protestów wciągnął do sklepu.

Kilka minut później byli znów na ulicy. Kolczyki wisiały na uszach Caitlyn i mrugały do niego, gdy poruszała głową.

- Nie powinieneś być ich kupować - stwierdziła, dotykając pięknych, chłodnych kamieni, jakby były żywe i wymagały pieczyoty. - A ja nie powinnam ich przyjąć.

- Dlaczego nie?

- Bo są za drogie.

- Jeżeli się upierasz, żeby odejść, uznaj je za premię.

- Ale dostałam już...

Rozzłościł się.

- Caitlyn, na miłość boską, to tylko para kolczyków. Dobrze ci w nich. Ciesz się nimi.

Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową, żeby je poczuć na szyi.

- No dobra, dziękuję.

Odetchnął, gdy je przyjął, i nie zastanawiał się specjalnie nad przyczyną tej przyjemności. Najważniejsze, że ją uwodził, zdobywał jej zaufanie i będzie ją mógł ściągnąć z powrotem do pracy. Tam, gdzie jej miejsce.

Kolczyki wyglądały na Caitlyn lepiej niż na wystawie. O ile nieźle się znał na biżuterii, na kobietach znał się jeszcze lepiej. Wiedział, że kolczyki to był właściwy ruch. Wszystkie kobiety są wrażliwe na prezenty. Czuł, że trochę zmiękła, więc zrobił następny krok.

- Możesz mi podziękować, jeżeli zjesz dzisiaj ze mną kolację.

- To znaczy, specjalnie z tobą, a nie tak, że się pojawisz i przepędzisz tego, kto będzie przy moim stoliku?

- Zrób przysługę swoim wielbicielom - poprosił, przypominając sobie, ilu z tutejszych panów próbowało ją poderwać, mimo że przedstawiał się jako jej mąż - i daj im wolny wieczór.

- A niby dlaczego?

Wzruszył ramionami, jakby go to w ogóle nie obchodziło.

- Pytanie brzmi, dlaczego nie? Chyba nie boisz się być ze mną sama?

Powinna się bać. Caitlyn czuła, jak mięknie w stosunku do Jeffersona i wiedziała, że stąpa po niepewnym gruncie. Gdy tylko weszła na oświetlone księżycem patio i zorientowała się, że zorganizował dla nich „prywatną” kolację, zrozumiała, że grunt jest jeszcze bardziej grząski.

Sceneria była przepiękna. Księżyc w pełni na tle czarnego nieba usianego gwiazdami. Ciemna powierzchnia oceanu odbijała światło, a lekki wiaterek powodował, że płomienie świec wdzięcznie tańczyły.

Jefferson stał obok krzesła w garniturze i krawacie, w których przyjechał. Włosy starannie szeszał z czoła i wyglądał jak klasyczny, bogaty playboy. Kiedy się do niej uśmiechnął, Caitlyn poczuła, że nogi jej się uginają. Idąc po kamiennej podłodze patia stukała obcasami sandałów. Zadrżała z lekka, gdy bryza owiała jej nagie ręce. Włożyła nową sukienkę bez ramiączek w ciemno-zielonym kolorze, a jej nowe kolczyki dotykały szyi przy każdym kroku.

Kupił jej biżuterię, tak jak każdej kobiecie w swoim życiu, którą chciał uwieść lub z którą zamierzał się rozstać. Stała obok niego i wzięła kieliszek chłodnego białego wina, który jej podał.

- Pięknie - powiedziała.

- Tak. - Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. - Ty jesteś piękna.

Caitlyn musiała bardzo ze sobą walczyć, żeby nie zapomnieć, dlaczego nie może się dać zauroczyć mężczyźnie, który miał już zbyt wiele „byłych”.

- To się nie uda, wiesz?

- Co takiego? - Oparł się o żelazną balustradę i uśmiechnął się do niej.

- Uwiedzenie mnie - odpowiedziała i wzięła łyk wina. Po chwili wypła jeszcze jeden, żeby uspokoić bijące serce.

- Czy ja to robię? Miała nadzieję. Nie, nie miała. Do diabła, tak, miała.

- Zawsze to robisz - dogryzła, odchodząc kilka kroków od niego. - Jesteś hojnym mężczyzną, Jefferson, ale kupujesz kobietom biżuterię tylko z dwóch powodów. - Obróciła się, żeby popatrzeć na niego i zobaczyła jego rozbawione spojrzenie.

- Naprawdę?

- Tak. - Oparła się o zimną barierkę i podsumowała, wciąż patrząc na niego: - Albo próbujesz mnie uwieść, albo się mnie pozbyć. A ponieważ oboje wiemy, że nie to drugie, zostaje tylko jedna możliwość.

Podszedł bliżej i poczuła wyrazisty zapach jego wody po goleniu. Zapach ten towarzyszył jej już od kilku dni, również w łazience.

- Znasz mnie tak dobrze, Caitlyn - zaczął łagodnie, opierając się o barierkę obok niej. Lekki dotyk jego ramienia, nawet poprzez marynarkę, spowodował, że zrobiło jej się gorąco.

- Lepiej, niż sobie wyobrażasz.

Wyciągnął rękę, założył jej za ucho kosmyk włosów, dotykając leciutko skóry opuszkami palców.

- A więc - kontynuował - jeżeli próbuję cię uwieść, to jak mi idzie?

- Nieźle - przyznała, choć wiele ją to kosztowało.

- To przekonajmy się, czy mogę to trochę poprawić - szepnął i wyjął kieliszek z jej dziwnie nieczułych palców.

Ustawił go na stoliku za sobą, obrócił Caitlyn w swych ramionach, popatrzył na nią przez najdłuższy moment w jej życiu i nachylił głowę do jej twarzy. Wiedziała, że powinna go powstrzymać, cofnąć się i uciec z krzykiem. Pocałunek Jeffersona jeszcze utrudni tę nieznośną sytuację. Ale nigdzie się nie wybierała, więc może nareszcie przestać udawać.

Jego usta dotknęły jej warg. Raz, drugi. Delikatne, szybkie pocałunki, od których podskoczyło jej serce. To delikatne dotknięcie jego ust sprawiło, że poczuła gorąco, jakiego dotąd nie zaznała. Pragnęła go jak jeszcze nigdy niczego w życiu.

I kiedy już się spodziewała, że teraz pocałuje ją dłużej i głębiej, wyprostował się, a ona otworzyła oczy, żeby na niego spojrzeć. Zmarszczył się i w jego oczach zobaczyła błysk jakiegoś uczucia, którego nie była w stanie określić.

Stała w jego objęciach, a on przesunął koniuszkami palców po jej policzku.

- Słodki - cmoknął. - Taki delikatny i słodki.

Przyjrzał się jej, jakby chciał coś zrozumieć, ale zaraz rozbłysnął ogień w jego oczach. Jego dłonie wędrowały w górę i w dół po jej nagich ramionach, a jego dotyk parzył jak płomień.

- Jefferson...

- Muszę spróbować jeszcze raz - powiedział tak cicho, że jego głos został niemal zagłuszony przez szum morza.

Tym razem, kiedy nachylił głowę do jej twarzy, nie ograniczył się do muśnięcia wargami jej ust. Otworzył jej usta językiem, a Caitlyn westchnęła, gdy poczuła to wilgotne gorąco. Zapragnęła tego, co tylko on mógł jej dać. Mocne ręce przesuwały się wzdłuż jej pleców, po czym przytrzymały ją za pośladki i przycisnęły do jego twardego ciała.

Caitlyn zatraciła się w magii tego momentu i zapomniała o tym, że miała unikać uwodzicielskich sztuczek Jeffersona. Nie obchodziło jej nic, że ten zachwycający pocałunek znaczył dla niego to samo co pocałunek z każdą inną kobietą w jego życiu.

Była jak wosk w jego objęciach. Ciepła, z właściwymi wypukłościami, chętna. Wiedział, że przy uwodzeniu najważniejszy jest właściwy czas. Powinien teraz zwolnić i wycofać się na jakiś czas, bo uwodzenie to długi i świadomy proces. Ostrożny taniec, do którego doskonale znał kroki. A jednak nie mógł przestać jej całować. Całe jego ciało stało się twarde jak jeszcze nigdy w życiu. Przyciskał ją do siebie, wkręcał się w jej biodra, ale to nie wystarczało. Czuł jej oddech na policzku i chciał więcej. Usłyszał jej westchnienie i poczuł, że cały płonie. Jej zapach, kwiatów i korzeni, doprawiał pocałunek i myślał, że już nigdy nie odetchnie.

W końcu zmusił się, żeby oderwać od niej usta i rozluźnić żelazny uścisk. Musiał sobie udowodnić, że potrafi. Jednak kiedy spojrzała na niego tymi

dużymi, ciemnymi oczami, Jefferson wiedział, że niezależnie od tego, czy się dotykają, czy nie, coś ich łączy. Zbliżyła ich do siebie.

Cofnął się, żeby ochłonać i sięgnął po kieliszki. Podał jej jeden, sam upił ze swojego spory łyk i zimny napój nieco ostudził rozpalony w nim płomień.

- Okej - odezwała się. - To było lepiej niż nieźle.

- Tak - potwierdził, prowadząc ją za rękę do stolika. - Masz rację.

Znacznie lepiej. Uwodzenie przebiegało zgodnie z planem. Ale jeśli nie będzie ostrożny, może wpaść we własne sidła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dwa dni później Caitlyn czuła się, jakby stąpała po cieniutkim drucie rozpiętym nad klatką z głodnymi lwami. A raczej jednym bardzo głodnym.

Kto mógł przypuszczać, że Jefferson włoży tyle energii w ten pocałunek? A ona poczuje to wszystko, co czuła wtedy, na oświetlonym księżycem tarasie? Od tamtego wieczoru Jefferson był szczególnie miły. Chodził z nią pływać, do wioski na zakupy, zapraszał ją na kolacje i gromił spojrzeniem każdego mężczyznę, który miałby zamiar się zbliżyć.

Usiadła wygodniej w fotelu i rozejrzała się po eleganckiej, ale bezpretensjonalnej restauracji. Podłoga była z niebieskiej terakoty, a ściany pomalowano na delikatny morski kolor. Jedna z nich była cała oszklona i otwierała się na patio, za którym rozpościerał się ocean. Gości siedziało niewiele, bo było za późno na obiad, a za wcześnie na kolację. Caitlyn zamówiła herbatę i babeczkę. Szukała po prostu spokojnego miejsca, żeby posiedzieć i pomyśleć. Gdzieś z dala od byłego szefa i obecnego bólu.

Było tu cicho, dopóki nie zadzwonił jej telefon.

- No jasne, że jest głodny - orzekła zdecydowanie Debbie. - Tylko nie pozwól, żeby zaczął od ciebie na przekąskę. - Caitlyn skrzywiła się.

Przyjaciółka miała rację, chociaż myśl o Jeffersonie dobierającym się do niej

była kusząca. - Dzwonię, bo Janine mi powiedziała, że masz kłopoty z Jeffersonem.

- Kłopoty to delikatnie powiedziane - zaczęła Caitlyn, nadgryzając babeczkę z jagodami. - On mnie po prostu wytrąca z równowagi, bo jest taki miły.

- Akurat.

W głosie Debbie brzmiało niedowierzanie i trudno jej się było dziwić. Przecież obie przyjaciółki wysłuchiwały narzekań Caitlyn na szefa przez ostatnie trzy lata. Ale nie rozumiały, że mimo narzekań lubiła pracę z nim.

- Dobra, w porządku, nie zawsze było z nim łatwo, ale teraz jest inny.

- Oczywiście.

- Naprawdę zmienił się na lepsze. - Caitlyn z jakichś powodów czuła się w obowiązku go bronić, chociaż doprowadzał ją do szału. - Poza tym jest bardzo zabawny. Debbie, wczoraj przy kolacji śmialiśmy się przez kilka godzin. Nigdy przedtem nie znałam Jeffersona od tej strony...

- Kochanie, narażasz się na duże rozczarowanie. Poznają to po twoim głosie.

- Wcale nie. - Upiła łyk kawy i odgryzła kawałek babeczki. - Nie jestem głupia, Deb. Nie planuję ślicznego ślubu ani nie ćwiczę podpisu „Caitlyn Lyon”.

- Muszę wyjść na zewnątrz. Zaczekaj sekundę - poprosiła Debbie i na dłuższą chwilę zamilkła. - Przepraszam, ale nie mogę się wydzierać na moją najlepszą przyjaciółkę, kiedy wszyscy w biurze słyszą.

Caitlyn powinna być wdzięczna. W agencji turystycznej, której Debbie była właścicielką, panował duży ruch.

- Nie trzeba się na mnie wydzierać.

- Owszem, potrzebujesz, żeby cię puknąć w głowę, ale jestem za daleko, więc musi wystarczyć moja mowa - ofuknęła ją Debbie. Caitlyn przewróciła oczami i Odłamała kolejny kawałek babeczki. - Kochana, Jefferson Lyon to kiepski pomysł. Jest zbyt bogaty. Ma dużą władzę. Jest przyzwyczajony, żeby

stawiać na swoim. - Krótkotrwały narzeczony Debbie też był bogaty, miał władzę i był... bigamistą. Jednak zanim Caitlyn cokolwiek powiedziała, Debbie ciągnęła: - Jefferson nie jest taki, jakiego udaje. Zaledwie kilka dni temu mówiłaś, że coś kombinuje.

Caitlyn podpisała rachunek, wstała i ruszyła do windy.

- Nie znoszę, kiedy moje przyjaciółki są takie logiczne - mruknęła i przycisnęła guzik. Czekając na windę, mówiła do słuchawki: - Ale może się zmienił? Nie, to brzmi jak z kiepskiego filmu. Nie zmienił się, prawda?

- Nie - zgodziła się Debbie. - Pamiętasz, kiedy mówiłaś, że Jeffersona interesuje tylko jedno? On sam?

- Ty robisz notatki z tego, co mówię, czy co? - chciała wiedzieć Caitlyn, tylko trochę żartując. - Trudno się sprzeczać, kiedy ktoś używa przeciwko tobie twoich własnych słów.

- To dobrze.

Weszła do windy i nie zwracając uwagi na starszego pana, który wszedł tuż za nią, powiedziała:

- No, dobra, masz rację, ale, Debbie, kiedy mnie pocałował... - Przerwała, zmierzyła wzrokiem mężczyznę słuchającego z zainteresowaniem i zniżyła głos. - Przysięgam, czułam coś z jego strony. Coś prawdziwego. Coś...

- Twardego i napalonego? - podrzuciła jej Debbie.

Caitlyn uderzyła głową o ścianę windy.

Nie chciała wierzyć przyjaciółce. Jak to możliwe, że całując ją w ten sposób, reagował wyłącznie fizycznie? Z drugiej strony, kiedy magazyn „People” uznał go za jednego z kilku najlepszych w kraju kawalerów do wzięcia, Jefferson, który sobie ten artykuł oprawił i powiesił na ścianie, oznajmił, że zamierza pozostać na tej liście przez najbliższe dwadzieścia lat. Nie szukał trwałego związku, a jeżeli już, to nie z kimś takim jak Caitlyn. Pokazywał się z aktorkami, modelkami i córkami przedstawicieli słynnych arystokratycznych rodów. Jeżeli podrywał asystentkę, musiał mieć jakiś powód.

Wysiadła z windy, pożegnała się z Debbie i podeszła pod drzwi swojego pokoju. Przeciągnęła kartą przez zamek, uchyliła drzwi i przystanąła, słysząc, że Jefferson wymawia jej imię.

- Caitlyn reaguje według mojego planu - powiedział wyraźnie do słuchawki. - Mówię ci, Jason, to zadziała.

„Reaguje według planu”? Caitlyn zdziwiła się i skupiła na dalszej rozmowie Jeffersona z młodszym bratem. Jason odmówił pracy w rodzinnej spółce i został lekarzem.

- Po prostu nie rozumiesz - podsumował Jefferson. - Wiem, co robię.

A co właściwie robi? Rozejrzała się, czy ktoś w korytarzu nie widzi, że ona stoi przed uchylonymi drzwiami własnego pokoju, podsłuchując.

- Mówię ci, że ona jest gotowa. Wiem, co mi mówiłeś, i gdybym miał czas, może załatwiłbym to inaczej, ale potrzebuję jej w pracy. Zna każdy szczegół wszystkich dokumentów na najbliższe pół roku. Nie mam czasu nikogo szkolić.

Caitlyn zacisnęła dłoń na gałce drzwi.

- Uwodzenie Caitlyn idzie mi wspaniale. Za tydzień lub dwa będę ją miał z powrotem w pracy.

Więc cały czas tylko o to mu chodziło. Uwieść ją, rozkochać i zapewnić sobie jej powrót do pracy.

- Wiem, co robię - zapewniał, zniżając głos tak, że ledwie go słyszała poprzez głośnie bicie własnego serca. - Pójdę z nią do łóżka, sprowadzę do domu, do Long Beach, a potem zachowam się jak drań, żeby musiała ze mną zerwać. Ona będzie się tak podle czuła z tym, że mnie rzuciła, że nie będzie miała serca rzucić jeszcze pracy.

Nie do wiary! Czy naprawdę uważał ją za taką głupią?

- To nie jest głupi plan, Jason - sprzeczał się z bratem. Dziękuję ci, Jason, pomyślała z wściekłością.

- Nie miewam głupich planów. A poza tym, mały braciszku, wiesz równie dobrze jak ja, że jak się na coś uprę, nigdy nie przegrywam.

Aż do tego razu, przysięgła sobie Caitlyn. Tym razem przegra. Świat nie będzie się kręcił tak, jak tego pragnie Jefferson Lyon. Ona przerobi ten jego idiotyczny plan tak, że się nim udławi. Co za bezczelność! Co za arogancja! Nie miała słów, żeby to określić.

- Dobra, będę leciał. Namówię ją na wczesną kolację, a potem pływanie przy księżycu. Uwierz mi, Jas, pójdzie na to.

Caitlyn zacisnęła dłoń na rzemyku od torebki tak mocno, że nie zdziwiłaby się, gdyby przyrósł jej do ręki. Wzięła głęboki oddech, cichutko zamknęła drzwi, po czym, robiąc dużo hałasu, otworzyła je na nowo.

Jefferson stał obok garderoby i na jej widok włączył swój tysiącwatowy uśmiech. Gdyby Caitlyn nie słyszała jego rozmowy z bratem, pewnie znów miałyby watę w kolanach.

Teraz jednak wszystko w niej było martwe i chłodne. Poza kipiącą wściekłością.

- No, jesteś - powiedział, odbierając od niej torebkę i pakunki. - Już chciałem wysłać jakąś ekipę ratunkową na poszukiwania do wioski.

- Co, martwiłeś się?

Przysunął się bliżej, przesunął palcami po jej ramieniu, po czym uniósł jej palce do ust, spojrzał jej w oczy i zapytał:

- A jak myślisz?

Miała ochotę wykrzyknąć mu dokładnie, co myśli. Wziąć go za ucho i wyrzucić, żeby spał na leżaku przy basenie, jak proponowała Janine. Chciałaby zobaczyć zdziwienie na jego twarzy, kiedy mu powie, że zna jego plan.

Ale miała lepszy pomysł. Miał plan, żeby ją uwieść? To pobawimy się razem. Ona uwiedzie jego. Będzie udawała, że wszystko idzie zgodnie z jego planem, a kiedy będzie już rozochocony i zadowolony z siebie, kopnie go w ten piękny tyłek i odejdzie. Znowu.

Najlepiej zacząć od razu. Hamując wściekłość, wysunęła rękę i zdobyła się na nieśmiały, słodki uśmiech.

- Nie chciałam cię martwić. - Odwróciła się, żeby odłożyć pakuneczki i znów zwróciła się do niego cichym głosem: - Pomyślałam, że jeżelibyś chciał, moglibyśmy wcześniej zjeść kolację. A potem może popływamy?

Zmrużył oczy i przez chwilę pomyślała, czy jednak nie przesadziła, ale zaraz się uśmiechnął powalająco i powiedział:

- Właśnie o tym pomyślałem minutę temu.

- Czy to nie zbieg okoliczności? - spytała, a w duchu dodała: Jesteś taki dupek. Jeszcze pożałujesz, że ze mną zadarłeś.

Przystanąła przy drzwiach do łazienki.

- Wezmę tylko prysznic i przygotuję się. Nie zabierze mi to dużo czasu.

- Świetnie, to ja w tym czasie załatwię kilka telefonów.

Zamknęła za sobą drzwi od łazienki i zaczęła się zastanawiać, czy będzie dzwonił do Jasona, żeby mu powiedzieć, że ta poczciwa Caitlyn zachowuje się zgodnie z jego planem. Przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Była lekko opalona po kilku dniach na słońcu, na włosach pojawiły się jaśniejsze refleksy, a w oczach błyszczały iskierki wściekłości. Powiedziała cicho do swojego odbicia, jakby potrzebowało wsparcia:

- Opierałam się jego zalotom ze słusznych powodów, a on je przeprowadzał z niesłusznych. Czas, żeby dostał nauczkę.

Kolacja przebiegła wspaniale, nawet lepiej, niż się spodziewał. Znów załatwił stolik na osobnym tarasie, a światło księżyca, blask świec i szum oceanu tworzyły niezapomniany romantyczny nastrój.

Teraz, gdy spacerowali po piasku, widział, że Caitlyn naprawdę dobrze się bawiła. Była bardziej otwarta i czulsza. I bardzo dobrze, pomyślał, mimo pojawiającej się iskierki wyrzutów sumienia.

Jego brat, Jason, nie miał racji, mówiąc, że wykorzystanie Caitlyn obróci się przeciwko niemu. Przecież nie wykorzystywał jej. Było to zresztą również w

jej interesie. Kochała swoją pracę, była w niej dobra, a porzuciła ją pochopnie. Na pewno chętnie wróci.

- Plaża jest zupełnie opustoszała - usłyszał jej cichy głos. Wyciągnął rękę i oplótł palcami jej dłoń.

- W głównym klubie odbywa się dziś wieczorem jakiś konkurs tańca - wyjaśnił.

- Bardzo się cieszę, bo plaża przy księżycu jest znacznie przyjemniejsza, kiedy nie ma na niej ludzi.

Zwróciła na niego twarz i uśmiechnęła się, a Jefferson poczuł, jak na sekundę zabrakło mu powietrza w płucach. W jej oczach odbijały się gwiazdy, a księżyc nadawał jej skórze barwę kości słoniowej. Pod letnią sukienką miała kostium kąpielowy i nagle bardzo zapragnął zobaczyć ją znów w tym bikini. W dziennym świetle, na basenie, jej ciało było ciepłe, opalone, z krągłościami i wklęśnięciami. Chciał zobaczyć, jak ta delikatna skóra wygląda w świetle księżycy, chciał jej dotknąć, poczuć, że ona też go pragnie.

Chciał ją znów pocałować. Musiał przyznać, że myślał sporo o tamtym ich pocałunku. O jego niespodziewanej temperaturze. O czymś, co zaczęło w nim pulsować, gdy poczuł jej oddech na swoich ustach.

W końcu, gdy rozświetlony ośrodek został daleko za nimi, zatrzymali się. Jefferson wyciągnął z torby dwa grube ręczniki i ułożył je na piasku. Caitlyn zsunęła buty i odwróciła się do niego plecami.

- Pomożesz mi z suwakiem?

Dotknął jej pleców koniuszkami palców, wsunął je pod cienki materiał i wolniutko zaczął rozsuwać zamek.

Obejrzała się przez ramię i uśmiechnęła promiennie, a on się poczuł, jakby go piorun poraził.

- Dzięki. - Potrząsnęła włosami i powiedziała: - Idę popływać, a ty?

Wbiegła do wody, rozchlapując fale długimi nogami. Skupił wzrok na jej sylwetce, zarysie bioder, wąskiej talii i eleganckim ruchu rąk uniesionych nad wodą na tle ciemnego nieba.

W ciągu kilku sekund jego całe ciało stało się twarde, gorące i spragnione. Zrzucił ubranie i pobiegł za nią. Nie był w stanie myśleć o niczym innym, tylko o tym, żeby ją dogonić i objąć, dotknąć jej.

Odczekał, aż nadeszła fala, na którą mógł się rzucić, a gdy go otoczyła ciepła, tropikalna woda, zauważył Caitlyn kilka metrów przed sobą. Podpłynął do niej, a ona się uśmiechnęła. Światło księżyca było na niej, w niej, błyszczała od niego jej skóra. Kompletnie wyleciał mu z głowy pomysł powolnego uwodzenia. Wiedział tylko, że musi ją mieć. Teraz.

- Jesteś piękna - wyjąkał i był tak samo zdziwiony jak ona, że naprawdę tak uważa. Jak mógł tego przedtem nie zauważyć?

Patrzył na nią każdego ranka przez trzy lata i nie widział rysów jej twarzy, głębi oczu, ust stworzonych do pocałunku? Nie interesowało go to. Ujął jej twarz w dłonie, nachylił się nad jej ustami i pocałował. Ona stanęła na palcach i ruch ciepłej wody popchnął ją na niego. Przytrzymał ją mocno w pasie, jakby ktoś chciał mu ją odebrać. Objęła go za szyję i przyciągnęła jego głowę do siebie. Jefferson trzymał ją teraz jedną ręką, a drugą wędrował wzdłuż jej ciała, aż dotarł do wąskiego paseczka materiału poniżej bioder. Palce wsunęły się za materiał i dotarły do miejsca, którego tak bardzo pragnął dotknąć.

- Jefferson! - Z jej gardła wyrwał się głęboki jęk.

- Pozwól mi - szepnął w jej szyję. Czuł jej puls poprzez żyły i wiedział, że ona czuje to samo co on. Pragnęła go tak bardzo jak on jej. Wiedział, że nie może już dłużej czekać, żeby ją mieć.

Objęła go nogami, żeby ułatwić dostęp jego dłoniom. Jej biodra kołysały się w rytm ruchu jego palców, a ręce ślizgały się po jego mokrych plecach. Odchyliła się do tyłu, kierując jego rękę tam, gdzie najbardziej pragnęła go

poczuć, a po chwili pieszczot jego usta i język znów się splotły z jej językiem i odczuł, jak wstrząsa nią orgazm.

Wziął ją na ręce i wyniósł z oceanu. Wplotła palce w jego włosy i pocałowała go, czując się bezpiecznie w jego objęciach. Przywarła do niego, przyciskając piersi do jego torsu i całując go.

Szybko ułożył ją na ręcznikach, na wciąż jeszcze ciepłym piasku, i równie szybko ściągnął z niej bikini. Była teraz otulona wyłącznie w światło księżyca. Uniosła w jego kierunku ręce i szepnęła:

- Teraz, Jefferson. Chcę teraz wszystko.

Zdjął kąpielówki, położył się obok niej i przez chwilę rozkoszował się dotykaniem jej wszędzie. Potem obrócił głowę ku jej piersiom i, jedną po drugiej, brał w usta ciemne sutki. Znów jęknęła, a każde jej westchnienie go rozpalalo. Poruszyła się pod nim, poczuł, że cały twardnieje, a za chwilę eksploduje, rozprysnie się. W końcu znalazł się w niej. Uniosła biodra, więc uznał to za pełną akceptację i całkowicie się poddał temu ogniewi, który rozpalał ich oboje. Razem osiągnęli szczyt, jeden raz, drugi. Cicho szeptane słowa i niepełne westchnienia dopełniały rytmu, w jakim oboje pulsowali. Jefferson spojrział w jej duże, brązowe oczy i poczuł, że się w nich zatapia.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Caitlyn wmawiała sobie, że odniosła zwycięstwo. To nie ona została wykorzystana, lecz ona wykorzystwała.

Ale zwycięstwo było pozorne i wiedziała o tym. Spodziewała się, że seks z nim będzie przyjemny, a potem o tym zapomni. Zostawi to zdecydowanie za sobą. Ponieważ jednak jej ciało wciąż pulsowało w rytm jakiejś muzyki, a serce pędziło jak oszalałe, wiedziała teraz, że popełniła poważny błąd.

Popatrzyła w jego oczy i zrozumiała: zakochała się w Jeffersonie Lyonie. Mężczyźnie, który absolutnie nie był nią zainteresowany.

- Ach - odezwał się, ostrożnie obracając się na bok. - To było...

- Zdumiewające? - podpowiedziała radośnie, chociaż odczuwała pustkę bez niego. - Cudowne? Ziemia się zatrzęsała?

Oparł się na łokciu i spojrzał na nią z góry. Oczy miał w cieniu, więc nic nie mogła z nich wyczytać, ale może to i lepiej, pomyślała.

- Wszystko razem - stwierdził, po czym dodał, krzywiąc się: - Na dodatek bez zabezpieczenia.

Wzdrygnęła się. Rzeczywiście, co za głupota. Niewybaczalna.

Przesunął ręką po mokrych włosach, kręcąc głową z niezadowoleniem.

- Nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło - przyznał. - Nigdy tak nie straciłem panowania nad sobą. Słuchaj, Caitlyn, w ogóle nie myślałem. Mogę przeprosić, ale co nam z tego przyjdzie.

- W porządku - zmusiła się do wykrztuszenia tych słów przez zaciśnięte gardło. Siedząc, sięgnęła po sukienkę, którą dopiero co z siebie ściągnęła. - Oczywiście to było głupie, ze strony nas obojga. Ale jeżeli jesteś zdrowy, nie musisz się martwić o ciążę. Zażywam pigułki.

- Jestem - zapewnił. - To znaczy, jestem zdrowy.

- No, więc nie ma problemu. - Poza krwawiącą raną w jej sercu, ale to jej problem, a nie jego.

Wstała i wciągnęła sukienkę, po czym zaczęła się mocować z suwakiem. Natychmiast znalazł się obok niej. Jego palce pogładziły jej skórę, gdy zapinał suwak, a ją przeszył dreszcz.

- Dzięki

Słyszała, że on też się ubiera, ale nie obróciła się. Do diabła, co właściwie miałyby teraz zrobić? Miała już na końcu języka, że wie o jego dziecięcym pomysle skłonienia jej, żeby wróciła do pracy. Chciała mu popatrzeć w oczy i zobaczyć, jak zareaguje, kiedy zrozumie, że ona wiedziała o tym, jak ją chciał wykorzystać. Ale coś ją powstrzymało.

Może to naiwne. Może wręcz głupie. Ta chęć, żeby mu pozwolić postępować według jego planu, żeby uważał, że to działa. Niech sobie myśli, że mu się udało ją omamić i że ona wierzy w szczerą jego prośbę. Może później, kiedy zaskoczy go prawda, będzie to dla niej mniej bolesne niż teraz.

Obrócił ją i przyciągnął do siebie. Będąc w jego objęciach, oparła głowę na jego piersi i słuchała rytmicznego bicia serca. Obejmował ją ramionami, opierając brodę o jej głowę. Kiedy silniej odetchnął, potraktowała to jak westchnienie, co dowodziło, że już podchodziła do sprawy zbyt emocjonalnie.

- Nie wiem, co ci powiedzieć - szepnął, wciąż ją trzymając i nie ruszając się, jakby chciał wytrwać w tej pozycji całą noc, nie pragnąc niczego innego.

Był dobry, pomyślała Caitlyn z żalem. Nigdy właściwie tego nie przyznawała, choć mu się należało. Dlatego zawsze otaczał go wianuszek kobiet. Jego dotyk, słowa, westchnienia. Ten facet był rewelacyjnym aktorem. Gdyby nie znała prawdy, pewnie dałaby się nabrać.

- Nie mów nic - odpowiedziała Caitlyn i naprawdę tego chciała. Nie miała ochoty słuchać więcej kłamstw. Zwłaszcza teraz, gdy wszystko, co do niego czuła, było takie delikatne. Tak łatwo byłoby ją zranić.

- Ale chcę.

Nie rób tego, pomyślała, ale wiedziała, że nie będzie milczał. Jeżeli ma dobrze odgrywać swoją rolę, to teraz powinien wygłosić kwestię, jak bardzo mu

na niej zależy. Żeby była uległa i miękka. I pomyśleć, że gdyby nie usłyszała tamtej rozmowy telefonicznej, byłaby taka, jak oczekiwał.

Odsunął ją troszeczkę i ujął jej twarz w ręce. Pogładził kciukami jej policzki i spojrzał na nią, pieszcząc wzrokiem.

- To było znacznie więcej, niż się spodziewałem, Caitlyn - mówił delikatnym i kuszącym tonem. - To mnie wzruszyło.

Poczuła, że łzy napływają jej do oczu i zaczęła z nimi walczyć. Nie poświęci mu ani jednej łzy. Nie pozwoli na to, żeby któregoś dnia przypomniał sobie, jak wspaniale wypełnił swoje zadanie. Wykorzysta jego słowa, aby się umocnić w obronie i pamiętać, że ten człowiek posunie się do wszystkiego, żeby osiągnąć cel.

- Mnie też - powiedziała i zmusiła się, żeby go przelotnie pocałować, nim wysunęła się z jego ramion.

- Mnie też? - powtórzył. - Tylko tyle masz do powiedzenia?

Zobaczyła zmieszanie na jego twarzy, co dało jej ponure poczucie triumfu.

- Było wspaniale, Jefferson. Byłeś świetny. Ale teraz jest mi zimno i chciałabym wrócić do hotelu.

- Och. - Skinął głową, pozbierał ręczniki i kostiumy kąpielowe i otrzepał je z piasku. Zarzucił sobie wszystko na ramię i wziął Caitlyn za rękę. - Więc wracajmy do pokoju. Tam możemy porozmawiać.

Miał ciepłe i mocne palce i przez chwilę pozwoliła sobie udawać, że naprawdę są parą. Że ich kochanie się naprawdę coś znaczyło, że mieli przed sobą przyszłość, a nie odkrycie kart, które wkrótce nastąpi.

Ale kiedy uśmiechnął się do niej tym opatentowanym uwodzicielskim uśmiechem Jeffersona Lyona, Caitlyn szybko nabrała powietrza. Serce ją bolało i nie była już pewna, czy będzie w stanie dłużej udawać. Mimo że była na niego wściekła, kochała go. Wiedziała jednak, że będzie ciągnęła tę grę, którą sama wymyśliła, bo kiedy się skończy, będzie przynajmniej miała miłe wspomnienia.

Czy naraża się na jeszcze większy ból? Może. Jednak w tej chwili, gdy jej ciało wciąż drżało od jego dotyku, a krew pulsowała, wydawało jej się, że warto.

Jefferson wspaniale spędzał czas. Nie w tym momencie, bo właśnie skończył rozmowę telefoniczną z Georgią, która potrafiła sprawić, że racjonalny, zdrowy na umyśle facet chciał rwać włosy z głowy. Ale ogólnie biorąc, czas na wyspie mijał mu przyjemnie. Stał przed wiejskim sklepikiem, czekając na Caitlyn, i doszedł do wniosku, że naprawdę świetnie się bawi. Słońce mocno przygrzewało, ale chłodniejszy powiew od oceanu łagodził to wrażenie. W powietrzu unosił się zapach kwiatów i dochodziła skądś rytmiczna muzyka.

Uświadomił sobie, że od lat nie miał prawdziwych wakacji i bardzo potrzebował tego oderwania się od dnia codziennego. Ale nie tylko oderwanie się od pracy było odświeżające. Powodem była Caitlyn. Była zabawna i bardziej pociągająca, niż kiedykolwiek przypuszczał. Nie miał pojęcia, jak to możliwe, że pracował z nią już tyle czasu i nie zauważył, jaka była niezwykła. Była tak różna od kobiet, które znał. Łatwo to zrozumieć, zapewniał wciąż samego siebie. Wiele ich łączyło, znacznie więcej niż łóżko. Rozmawiali o swoich rodzinach i śmiali się, ona znała jego pracę i firmę równie dobrze jak on sam. Miała awanturniczego ducha, wciąż chciała próbować czegoś nowego. Dzięki niej widział wszystko wokół siebie w innym świetle. Należał do ludzi, którzy każdą godzinę bez pracy uważają za straconą, a teraz z niecierpliwością czekał na każdy następny dzień z nią.

Razem brali lekcje surfingu i podziwiał jej upór, dzięki któremu za każdym razem udawało jej się ustać na desce sekundę dłużej. Próbowali lotów na paralotni za łódką i nie zapomni jej śmiechu, gdy tańczyła na wietrze pod kolorowym spadochronem. Co wieczór tańczyli w hotelowym klubie, a gdy wracali do pokoju, kładli się razem do jej szerokiego łóżka.

Oparł się o jakiś słupek i przymrużył oczy przed słońcem, patrząc na przechodzących ludzi. Znalazł się w jakimś dziwnym miejscu, w którym myślał

tylko o tym, żeby ona się do niego uśmiechnęła, żeby go dotknęła, żeby przytuliła się do niego w nocy. Kochał się z nią każdej nocy i budził się przy niej. To też było nowe doświadczenie. Dotychczas nie lubił „ranków po” i nigdy żadna z jego kobiet nie zostawała na noc w jego domu.

Z Caitlyn było inaczej. Chciał patrzeć, jak się budzi, chciał być pierwszym, którego ona zobaczy, gdy otworzy te swoje zadziwiające brązowe oczy.

W miarę jak dni mijały, zaczynał się tym martwić. Jego plan działał aż za dobrze. Caitlyn była szczęśliwa i był pewien, że uda mu się ją namówić na powrót do pracy. Problem w tym, że sam coraz bardziej się angażował. Zaczął się zastanawiać, jak będzie po powrocie do rzeczywistości, kiedy zostanie bez niej, kiedy już ją przekona do „zerwania”.

- Co to za mina? - spytała Caitlyn, wychodząc ze sklepu ze świecami.

- Nic takiego. - Jefferson wyprostował się i automatycznie wziął od niej torbę, jednocześnie obejmując ramieniem. Stało się to już zbyt naturalne, ale na razie nie będzie się tym martwił. - Myślałem o pracy.

- Aha - skinęła głową. - Kolejny telefon od Georgii?

Jefferson westchnął i starał się opanować wzburzenie. Ta kobieta doprowadzała go do szału. Owszem, starała się, ale za każdym razem, gdy dzwoniła, tak biadoliła, że nie rozumiał, o co jej chodzi. To go umacniało w przekonaniu, że musi utrzymać Caitlyn w firmie.

- Okazało się, że zadzwonił dziś do biura Hammersmith i chciał kolejnej obniżki za przewozy morskie. - Uważał, że mu się to należy, bo jest jednym z najstarszych klientów.

- Próbuje tego co roku - zaśmiała się Caitlyn i spytała: - Odmówiła mu chyba?

Westchnął.

- Nie. Powiedziała, że nie chce brać odpowiedzialności. W każdym razie tak przypuszczam, sądząc z tych wszystkich jęków i pochrząkiwania. Obiecała, że zobaczy, co się da zrobić.

- Ale on już dostaje sporą obniżkę ze względu na tonaż.

- Widzisz? - powiedział, znowu pod wrażeniem. - Ty to wiesz, a Georgia chociaż powinna, nie wie.

- Georgia jest nerwowa. - Wzruszyła ramionami i odrzuciła włosy z twarzy. - Mówiłam ci, że za każdym razem, kiedy ma z tobą rozmawiać, staje się kłębkim nerwów.

- Ona się nie nadaje do tej roboty.

- Masz rację, do tego akurat nie - przyznała Caitlyn i przystanąła. - Ale swoją własną pracę wykonuje dobrze.

- Poza drobnymi błędami maszynowymi - przypomniał jej - które mogły mnie kosztować czterysta milionów dolarów.

- Byłeś dla niej niesprawiedliwy. Zawsze jesteś.

- A ty zbyt miła. - Poglądził ją jednym palcem po twarzy. - Zawsze jesteś. Obróciła głowę w kierunku dotyku i westchnęła.

- Nie zawsze.

Zaczął się zastanawiać, co też zauważyła w jego oczach, ale zaraz znów się uśmiechnęła, więc postanowił to zostawić.

- Kiedy wrócimy do Long Beach - powiedział - ona może zostać twoją asystentką, jeśli chcesz. Ale mówiąc serio, nie może więcej mieć do czynienia bezpośrednio z klientami.

- Jefferson...

- Wiem - przerwał, nachylił się i pocałował ją w usta.

- Odeszłaś. Rozumiem. Ale to nie znaczy, że nie mogę próbować cię odzyskać.

Przechyliła głowę na jedną stronę i patrząc na niego, spytała:

- A jak daleko byś się posunął, żeby to osiągnąć? Uśmiechnął się i walczył chyba z przebłyskiem wyrzutów sumienia.

- Tak daleko, jak potrzeba, oczywiście. Jesteś jedna na milion, Caitlyn. Nie chcę cię stracić.

- Jasne, oczywiście, że nie.

- Jesteśmy razem dobrzy. - Chciał ją zmusić, żeby przynajmniej przyznała, że tworzyli dobry zespół. Ujął ją pod brodę. - Chyba nie powiesz mi, że nie lubisz kierować moim życiem.

Odsunęła się, ale wydawało mu się, że dostrzegł żal w jej spojrzeniu.

- Nie wiem, Jefferson. - Nabrała powietrza i wypuściła je.

- Muszę to przemyśleć, dobrze?

- Zgoda, dosyć o interesach. - Objął ją znowu i przycisnął do siebie. - Chodźmy coś zjeść.

- To zawsze dobry pomysł.

Uszli kilka metrów, kiedy znów się zatrzymała, pokazując coś na wystawie.

- Jaka piękna!

- Co?

Postukała w okno wystawowe.

- Ta bransoletka.

Już to przerabiałem, pomyślał Jefferson. Każda kobieta, z którą był, znajdowała w końcu sposób, żeby się znaleźć z nim przed sklepem jubilerskim. Zwykle chodziło o naszyjnik z brylantów. Albo jakieś kolczyki. Nic dziwnego, że i Caitlyn chciała to zrobić.

- Ładne - powiedział, patrząc na rozłożone na granatowym aksamicie brylantowe i szmaragdowe naszyjniki, wspaniale błyszczące w słońcu.

- Nie - powiedziała, znów stukając w szybę. - Ta na froncie.

Z przodu leżała tylko zwykła srebrna bransoletka z kilkoma delikatnymi, precyzyjnie wykonanymi breloczkami.

- Mówisz o tej bransoletce? - spytał, żeby się upewnić. - Nie o brylantach?

- No tak. Widzisz tę maleńką deskę do surfingu? - Spojrzała na niego z uśmiechem w oczach. - Ma przez środek czerwony paseczek, zupełnie jak ta, z której wczoraj spadłeś.

Uśmiechnął się, zaintrygowany kobietą, która widziała srebrne breloczki, a nie brylanty.

- Nie spadłem - poprawił ją. - Zeskoczyłem.

- No, jeżeli dzięki temu będziesz lepiej spał w nocy...

Jej śmiech był zaraźliwy, a błysk w oczach mógł rozgrzać człowieka do czerwoności. I Jefferson poczuł, że coś go chwyta za serce. Coś niepokojącego i nie wiedział, co z tym zrobić. Wobec tego wziął Caitlyn za rękę i wprowadził do sklepu.

- Jefferson, przestań mi ciągle coś kupować.

- Dlaczego? - zapytał, wzruszając ramionami. Lubił robić jej prezenty. Podobało mu się, że nigdy tego nie oczekiwała. Inne kobiety bywały chciwe, chociaż im niczego nie żałował.

Caitlyn była zupełnie inna. Gdy obserwował, jak jubiler zapina srebrny zameczek na jej smukłym przegubie, poczuł, jak przenika go ciepło. Wyglądała na bardziej zadowoloną z takiego drobiazgu niż z kolczyków, które jej kupił tydzień wcześniej.

Uniosła rękę, przyglądając się miniaturce deski surfingowej.

- Dziękuję ci. Kocham ją.

Na sekundę, na jedną przerażającą sekundę, zaczął się zastanawiać, jak by to było, gdyby powiedziała: kocham cię.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Caitlyn zrozumiała, że dłużej już nie jest w stanie udawać. Patrząc w jego jasnoniebieskie oczy i widząc jego uśmiech, czuła ciężar w sercu. Strasznie wszystko skomplikowała. Całe szczęście, że Janine i Debbie przyjeżdżają w najbliższych dniach.

Przyjaciółki były jej potrzebne, żeby jej dać zdrowego kopa. Gdyby wiedziały o jej pomysle, żeby plan uwiedzenia jej obrócić przeciwko Jeffersonowi, na pewno by to odradziły. Pewnie właśnie dlatego im nie powiedziała. Gdy tylko któraś z nich do niej dzwoniła, unikała tematu Jeffersona. Nie było to łatwe, bo obie koniecznie chciały wiedzieć, co się dzieje.

Ale jak mogła wytłumaczyć przyjaciółkom, skoro sama tego nie rozumiała? Weszła w to z pełną świadomością, chciała zranić jego, tak jak on planował zranić ją. Problem w tym, że jego nie zraniła, a sama była rozdarta. Każdego dnia kochała go coraz bardziej i bardziej pragnęła, a chociaż wiedziała, że on tylko udaje zainteresowanie, bardzo jej się podobał ten nowy Jefferson. Był dowcipny, inteligentny, uważający i był wspaniałym kochankiem. Mężczyzna doskonały. Żeby jeszcze to wszystko nie było jednym wielkim kłamstwem.

Bawiąc się wisiorkiem przy swojej nowej bransoletce, przypomniała sobie poprzedni dzień, kiedy jej to kupował. Wyraz jego twarzy, kiedy zrozumiał, że ona nie zachwyca się brylantami, był prawie komiczny. Prawie, ponieważ doszła do niej bolesna prawda: Jefferson nie cenił jej za to, kim jest. Spodziewał się, że Caitlyn zajmie miejsce kolejnej, która chętnie przyjmie parę brylantów zamiast prawdziwego uczucia. A kiedy on będzie miał dosyć, ona wróci, żeby dla niego pracować, i świat będzie się toczył dalej według reguł Jeffersona Lyona.

W tym momencie zrozumiała, że musi to zakończyć, musi odesłać Jeffersona do domu. Chciała spędzić trochę czasu z przyjaciółkami i pogodzić się z myślą, że Jefferson nie będzie już częścią jej życia.

- Halo, halo! - Pomachał jej przed oczami. - Dokąd odjechałaś? Czyżbym był taki nudny?

- Przepraszam - zreflektowała się i sięgnęła po kieliszek. Czowała suchość w gardle i wzbierające łzy. Nie będzie przy nim płakała, on nie może się dowiedzieć, że jej wspaniały plan obrócił się przeciwko niej. - Nie jesteś nudny, skąd. Zamyśliłam się tylko.

- Widzę - odpowiedział cicho, a jego głos niemal ginął w szumie rozmów wypełniających restaurację na dachu Fantazji.

Niebo nad ich głowami było czarne i usiane gwiazdami. Księżyc, przesłonięty lekko chmurami, miał wyraźnie srebrne krawędzie. Przez głośniki dochodziła przytłumiona, powolna muzyka. Wyraźnie właściciel uważał, że rozmowa jest ciekawsza, gdy nie trzeba krzyczeć.

Hotel rzeczywiście zasługiwał na swoją nazwę. Fantazja. Ulegała fantazjom przez ostatni tydzień z Jeffersonem w swoim łóżku każdej nocy i każdego dnia. Cieszyła się z każdej minuty tego wspólnego czasu, bo wiedziała, że nie potrwa to długo.

Teraz, gdy koniec się zbliżał, walczyła ze sobą, czy już powiedzieć Jeffersonowi, że wie o jego niecznym planie. Czy to coś złego, że pragnie jeszcze jednej nocy? Czy jutro rano będzie za późno, żeby zakończyć tę magię?

- Znowu to samo. O czym myślisz? - spytał, wyciągając rękę, żeby położyć na jej dłoni. - Chyba o czymś bardzo poważnym.

Pokręciła głową i skupiła się na jego dotyku, który odczuwała jak lekki przepływ prądu.

- Nie, może jestem po prostu zmęczona.

- Nic dziwnego - uśmiechnął się, po czym zrobił tragiczną minę. - Ile przejechaliśmy dzisiaj na rowerach? Chyba ze sto kilometrów?

Caitlyn roześmiała się. Nie mogła się powstrzymać. Cholera, dlaczego on musi być taki uroczy? Dlaczego ona musi kochać ten błysk w jego oczach, gdy się uśmiecha? Dlaczego on musi tak kłamać? Dlaczego nie może jej kochać?

- Trasa wokół wyspy ma dwadzieścia kilometrów, a nie przejechaliśmy całej - przypomniała.

- Ale warto było, żeby znaleźć to miejsce na piknik. - Ścisnął jej rękę.

- Tak, było przepiękne.

Był to cudowny tropikalny ogród z wodospadem, przypomniała sobie, wzdychając. Czuli się tam, jakby byli jedynymi ludźmi na świecie. A kiedy się rozebrali do naga, żeby popływać, miała wrażenie, że to film. Wspominając, co się działo potem, kiedy leżeli nago na słońcu, a Jefferson całował każdy centymetr jej ciała, Caitlyn zapragnęła być z nim dłużej. Dłużej w tym kłamstwie, w którym oboje brali udział.

- Moglibyśmy jutro znowu tam pojechać - kusił. Nawet gdyby pojechali jutro i pojutrze, nic się nie zmieni.

Wciąż będą zaplątani w sieć kłamstw, nic nie będzie prawdziwe. Nie będzie nic znaczyło. Upiła łyk wina i pobłogosławiła dobre duchy, które nad nią czuwały, bo zadzwonił jego telefon komórkowy i nie musiała mu odpowiadać. Jefferson skrzywił się, patrząc na wyświetlacz.

- To potrwa tylko minutę. - Otworzył telefon i spytał: - Max? Skąd masz ten numer?

Max Striver, pomyślała Caitlyn, zadowolona. Złość Jeffersona uchroni ją przed powrotem do rozmowy, której nie chciała.

- Georgia dała ci mój numer na komórkę? - Jefferson mówił przez zaciśnięte zęby. Zmrużył oczy i Caitlyn wiedziała, że starsza koleżanka znów się naraziła. - No, więc co jest takiego ważnego, że musiałeś mnie tu wytropić? - Cokolwiek mu powiedział, nie była to dobra wiadomość. Wyglądał tak, jakby para miała mu wyjść uszami, pomyślała Caitlyn. - A skąd to wiesz? - dopytywał się Jefferson. - A, znowu Georgia. Niewyczerpane źródło informacji. - O, do

cholery. Caitlyn jej współczuła. Na pewno nie zdobywała sobie punktów. Jefferson był taki wściekły, że wydawało się, jakby miał zaraz wrzucić telefon do oceanu. Wziął jednak głęboki oddech i powiedział: - Dobra, zaczekaj.

- Co się stało?

- Nic - mruknął, podając jej telefon. - Ale może mogłabyś mi powiedzieć, dlaczego Max zadał sobie trud odnalezienia mnie po to, żeby porozmawiać z tobą?

- Ze mną? - spytała, kręcąc głową. - Skąd mam wiedzieć?

- No, to może się dowiedz.

Wzięła telefon, spojrzała na Jeffersona i spytała:

- Max? Dlaczego do mnie dzwonisz?

- Och, skarbie, jak miło słyszeć twój głos - zaczął z tym specjalnym brytyjskim akcentem. - Mogłaś mnie uprzedzić, że rezygnujesz z pracy w Lyon Shipping.

Caitlyn skurczyła się nieco pod stalowym spojrzeniem Jeffersona. Naprawdę, czy nie miała już dosyć problemów z jednym przemądrzałym facetem? Potrzebny jej drugi?

- To była nagle decyzja.

- I bardzo mądra, moim zdaniem - poparł ją Max. - Ale wyobraź sobie moje rozczarowanie, kiedy zadzwoniłem do biura i dowiedziałem się, że odeszłaś z pracy i wyjechałaś na wakacje.

- Tak, to musiało być straszne - zażartowała i spojrzała z uśmiechem na Jeffersona. Odpowiedział jej lodowatym spojrzeniem. Dobrze. - Słuchaj, Max, jeżeli masz jakąś sprawę, Georgia może to załatwić.

Prawdę mówiąc, nie mogła, ale chodziło o to, że Caitlyn już tam nie pracuje, a jakoś nikt nie zauważał tego istotnego faktu.

- Urocza kobieta, bez wątpienia - Max mówił coraz szybciej - ale nie po to dzwonię.

- Więc po co?

- Po co? - powtórzył zdziwiony, że w ogóle może pytać. - Oczywiście, żeby powtórzyć moją ofertę zatrudnienia. Teraz, gdy nie pracujesz już u Lyona, bardzo bym chciał, żebyś pracowała dla mnie. Jako asystentka prezesa.

- Miałabym pracować dla ciebie? - spytała i natychmiast zrozumiała, że nie należało. Jefferson zeszywniał na swoim krzeselku i rozejrzał się po zatłoczonej restauracji tak, jakby miał zamiar wysłać wszystkich pozostałych gości na inną galaktykę, po czym znów zwrócił wzrok na Caitlyn, która zaczęła się wiercić. - Max, ja...

- Czeka cię duża podwyżka - dodał szybko. - I służbowy dom na Knightsbridge, w którym możesz mieszkać, jak długo będziesz chciała, jeśli nie zdecydujesz, że wolałabyś mieszkać gdzie indziej.

- Brzmi to fantastycznie, ale...

- Nie mów „nie” - przerwał Max. - W każdym razie, najpierw to przemyśl.

- Dobrze. - Caitlyn wpatrywała się w stalowoniebieskie oczy Jeffersona. - Pomyślę nad tym.

- Tylko o to cię proszę, skarbie. A teraz daj mi jeszcze Jeffersona, jeśli można.

Podawała mu telefon, ale Jefferson go po prostu zamknął, nic nie mówiąc.

- Proponuje ci pracę. Znowu.

- Tak - odpowiedziała, bo nie było sensu zaprzeczać.

- Dlaczego mu nie odmówiłaś?

- A niby dlaczego?

- Bo pracujesz u mnie.

- Nie, nie pracuję. Pamiętasz, Jefferson? - przypomniała, czując, że zaczyna kipieć. Czowała się jak spłaszczona piłeczka pingpongowa. Nikt nie zauważył, że jest uszkodzona i dalej odbijają ją sobie raketkami, spodziewając się, że będzie się zachowywała jak zawsze. Toczyła się bez problemu mimo dziur na powierzchni.

Było to może głupie porównanie, ale na razie nie mogła nic lepszego wymyślić. Caitlyn miała dosyć, w każdym razie na teraz. Miała dosyć traktowania jej jak małe trofeum, o które się kłóca Max z Jeffersonem. Nie była kompletną idiotką. Max chciał ją zaangażować u siebie tylko dlatego, żeby ją ukraść Jeffersonowi. A Jefferson chciał ją dlatego, że tyle wiedziała na temat firmy i jej interesów.

Nikt tak naprawdę nie chciał jej jako konkretnej osoby.

- Wiesz co? Mam dosyć. Ja nie chciałam rozmawiać z Maksem. To on do mnie zadzwonił. A teraz nie chcę rozmawiać z tobą. - Wstając, wzięła torebkę i powiedziała: - Dziękuję za kolację. - I wyszła z restauracji.

Słyszała, jak ją wołał, ale nawet nie zwolniła. Wściekłość ją popędzała. Mijała wiele zainteresowanych twarzy, gdyż ludzie obserwowali, jak szybko maszeruje, a Jefferson, najbardziej opanowany człowiek, jakiego знаła, wołał za nią. Ale nic już jej nie obchodziło, co obcy ludzie, a nawet on, myśleli na jej temat. W tej chwili potrzebowała dystansu i od niego, i od całej sytuacji.

Zjechała windą na parter, przeszła przez hol, dalej przez wymuskany trawnik i zatrzymała się tylko na moment, żeby zdjąć sandały. Trzymając je w rękę, przeskoczyła przez klomb astrów i popędziła na plażę.

Z restauracji na dachu docierała tutaj przytłumiona muzyka. Czarna powierzchnia wody pobłyskiwała w świetle księżyca, a delikatny wiaterek kołysał krótką czarną sukienką, która ocierała się o jej ciało. Piasek pod jej gołymi stopami był wciąż ciepły, póki nie doszła do wody.

Szła wzdłuż brzegu po mokrym piasku, rozpryskując chłodną wodę. Starła się w ten sposób wyładować swój ból. Złość. Rozczarowanie. Płuca ją piekły z każdym oddechem, a oczy szczypały, grożąc w każdej chwili potokiem łez. Żal walczył ze złością, aż w końcu wygrał. W gruncie rzeczy nie była tyle wściekła, co zawiedziona i zraniona. Przynajmniej na plaży była sama i to pomagało. Mogła przewidzieć, że nie potrwa to długo.

- Do diabła, Caitlyn, zatrzymaj się.

Nie zwolniła. Nie chciała teraz na niego patrzeć, bo nie potrafiłaby już zwlekać z konfrontacją, którą musiała przeprowadzić, a uważała, że nie był to odpowiedni moment. Jefferson był jednak coraz bliżej, aż schwycił ją za ramię i obrócił. Wyrwała rękę.

- Idź sobie.

- Nie sądzę - odpowiedział, patrząc na nią. - Chcę wiedzieć, dlaczego nie powiedziałaś Maksowi „nie”. Dlaczego go zwodzisz, każąc mu myśleć, że może będziesz dla niego pracowała. - Zmrużył oczy. - A może to mnie zwodzisz?

Caitlyn spojrzała na niego w kompletnym szoku. Niestety, czy tego chciała, czy nie, musi to nareszcie załatwić, tu i teraz.

- Czy ty jesteś poważny? - spytała, popychając go, co go oczywiście nie poruszyło ani o centymetr. - Naprawdę możesz to uczciwie powiedzieć? Że ja cię zwodzę?

- A jak byś to nazwała? - Wsunął obie ręce w kieszenie i patrzył na nią ze złością.

- Nazwałabym to graniem w twoją własną grę, Jefferson. - Oddychała głęboko, ale nocne powietrze wypełniało ją takim samym mrokiem jak ten, który ją otaczał. - Nazywam to schwytaniem cię w twoją własną pułapkę i przechytrzeniem cię.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Słyszałam, jak rozmawiałeś z Jasonem w zeszłym tygodniu.

Zamarł.

- O czym ty mówisz?

- Tylko się nie wysilaj na kolejne kłamstwo - ostrzegła. Miała satysfakcję, kiedy przez jego twarz przemknęło coś w rodzaju żalu, ale zaraz znikło.

Oczywiście, żal był krótkotrwały. Jefferson nie popełniał błędów, a w każdym razie nie przyznawał się do nich. - Chciałeś mnie uwieść, wykorzystać, a potem tak to odkręcić, żebym to ja ciebie rzuciła. Uważałeś, że będę się z tym tak źle czuła, że wrócę pracować w twojej firmie.

Wypuścił powietrze, rzucił okiem na ocean, po czym zwrócił wzrok z powrotem na nią. Wzruszył bez przekonania jednym ramieniem i poskrobał się po twarzy.

- Nie powinnaś była tego słyszeć.

- Nie, oczywiście, że nie. - Caitlyn była już zmęczona tymi kłamstwami i gierkami. - Miałam się dać na to nabrać. Zdaje się, że takiego wyrażenia użyłeś.

- Żałuję, że to słyszałaś.

- Tego rzeczywiście jestem pewna.

- Nie chciałem cię stracić - przyznał, ścisząc głos do takiego miłego mruczenia, że zaczęła się obawiać o swoje silne postanowienie.

- Wobec tego mnie wykorzystywałeś.

Jefferson skrzywił się z powodu takiego doboru słów, ale trudno było z tym polemizować. To nie tak się miało odbywać, ona nie miała o tym wiedzieć. A teraz nie miał już czasu, żeby to jakoś rozegrać na swoją korzyść. Wierząc jednak, że najlepszą obroną jest atak, wypomniął:

- Skoro cały czas o tym wiedziałaś, to uważam, że i ty mnie wykorzystywałaś.

- Chciałam cię złapać w twoje własne sidła.

- No, to gratuluję. Udało się.

- Naprawdę?

Zaśmiał się krótko, ale coś go drapało w gardło.

- Nie będziesz chyba udawała, że nie było ci przyjemnie.

- Nie, nie będę - odpowiedziała cicho, a on usiłował wyczytać z jej wzroku, jakie uczucia w niej przeważały. - Ale to już koniec. Gra się skończyła.

Przeszła obok niego, zmierzając z powrotem do hotelu. Nie odwróciła się, ale była pewna, że Jefferson nie będzie stał. Kiedy ją dogonił, spojrzała z wściekłością na rękę, którą położył na jej ramieniu.

- Puść mnie.

Jego palce zacisnęły się mocniej i poczuł jej gorąco przenikające przez jego skórę.

- To koniec, Jefferson. Przegraj z honorem.

- Ja nie przegrywam - wycedził i tak długo się w nią wpatrywał, aż jego siła woli zmusiła ją do spojrzenia na niego.

- Ty wiesz o tym najlepiej.

- Czasami nie ma się wyboru.

- Zawsze jest wybór.

- A już go dokonałam - przypomniała mu. - Odeszłam i dłużej nie pracuję u ciebie. Oboje wiemy, że nie jesteśmy również parą, więc teraz mój wybór jest taki, żeby iść do swojego pokoju i zostać sama.

Próbował się uśmiechnąć, bo niewiele więcej mu pozostało.

- To jest również mój pokój.

- Już nie.

Cierpienie w jej oczach coś w nim rozerwało. Coś pękło, ale nie był pewien co. Na pewno nie serce, bo serca przecież w to nie angażował. Ale nie chciał jej zranić. Chciał ją tylko odzyskać. Udowodnić, jak jest dla niego ważna. Dla firmy.

- Zostaw mnie w spokoju, Jefferson. - Wyrwała rękę i ruszyła w ciemności, kierując się na jasno oświetlony hotel.

Dobra. Puści ją. Na razie. Nie będzie jej gonił. Jefferson Lyon nie biega za nikim. Pozwoli jej ochłonać przez dzisiejszą noc, a jutro na pewno postawi na swoim.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Co to znaczy, nie ma wolnych pokoi? Recepcjonista bezradnie rozłożył ręce.

- Cóż mogę panu powiedzieć? Będziemy mieli coś wolnego jutro, ale...

Mimo późnej godziny hol był pełen ludzi. Gromadzili się wokół szklanych stolików, śmiali się, coś pili. Personel hotelowy uwijał się, wszyscy byli zajęci. Nijaka, pospolita muzyka dochodząca z głośników powodowała u Jeffersona ból głowy.

Uchwycił się szklanego blatu recepcji i pochylił bliżej do recepcjonisty.

- Przypominam, że płaciłem wam przez tydzień za puste pokoje. A teraz chcę jeden z nich.

- Przepraszam, koleś. - Młody człowiek skrzywił się, po czym poprawił: - To znaczy, proszę pana. Tak, płacił pan, ale tylko do przyjazdu zapowiadanych gości. Teraz już przyjechali. Ale, jak mówiłem, mogę panu pomóc jutro.

- A co mi to pomoże dzisiaj?

- Przykro mi, proszę pana. - Pokręcił głową i znów wzruszył ramionami, po czym spojrzał na stojącą za Jeffersonem kobietę. Załatwił sprawę i gotów był na rozmowę z następnym klientem.

Super. Jefferson odszedł od lady i ruszył w kierunku wind. Od chwili, gdy Caitlyn uciekła od niego na plaży, był sam i starał się wymyślić jakieś wyjście z sytuacji. Na razie nic mu nie przychodziło do głowy, ale przyjdzie. Zawsze jest wyjście.

Wszedł do windy i wcisnął przycisk piętra.

- Po prostu wyjaśnię jej, że nie ma wolnych pokoi - tłumaczył swojemu odbiciu w lustrzanych drzwiach. - Jest rozsądną kobietą. Będzie dobrze.

Nie, pomyślał ponuro, odwracając się od lustra. Nie będzie dobrze. Była wkurzona, a wiedział z doświadczenia, że z wkurzoną Caitlyn nie jest łatwo.

Winda zatrzymała się i wyszedł na korytarz. Gdy tylko skręcił w lewo, natychmiast zauważył stojące przed drzwiami walizki. Przyspieszył kroku i złość w nim narosła. Ledwo zerknął na swoje torby, po czym energicznie zapukał trzy razy do drzwi, czekając, aż mu otworzy.

- Odejdź. - Jej głos był przytłumiony przez grube drzwi, ale przekaz był jasny.

- Otwórz drzwi, Caitlyn, musimy porozmawiać.

- Och! - prychnęła i usłyszał nerwowe stukanie paznokciami o drzwi. - Myślę, że dosyć już sobie powiedzieliśmy. Odejdź.

- Nie mogę - mruknął i podniósł głowę, bo wychodząca właśnie z innego pokoju para spojrzała na niego, jakby był jakimś prześladowcą. Kobieta wzięła męża pod ramię, a Jefferson wysilił się na uśmiech i wyjaśnił: - Mała sprzeczka z żoną.

Kobieta nie wyglądała na przekonaną, ale mężczyzna uśmiechnął się wyrozumiale. Kiedy odeszli dalej, Jefferson znów przywarł do drzwi.

- Do diabła, Caitlyn, otwórz. Nie chcę prowadzić tej rozmowy na korytarzu.

- Ja w ogóle nie chcę jej prowadzić - odparowała. Jej intencje były zupełnie jasne.

Klepnął jedną ręką w drzwi.

- Nie ma wolnych pokoi. Nie mam gdzie spędzić nocy. Wpuść mnie. Przedyskutujemy to i...

- Idź się prześpij na leżaku, Jefferson - przerwała i tym razem chyba krzyczała, bo słyszał ją bardzo wyraźnie. - Nie wrócisz do mojego pokoju i nic mnie nie obchodzi, gdzie będziesz spał. Czy to jasne?

Ogarnęła go taka wściekłość, że naprawdę zaczął widzieć czerwone plamy. Jeszcze nikt nigdy tak go nie potraktował. Mógłby przysiąc, że wszystkie jego nerwy aż skwierczały z obrazy.

- Mówisz poważnie, tak?

- Brawo! - Puknęła w drzwi i dodała: - Odejdź, zanim zawołam ochronę.
- Ochronę? - Zdumiony, wpatrywał się w zamknięte drzwi. - Nie zrobisz tego.

- Zobaczymy.

Przez chwilę rozważał, czyby nie zaryzykować, bo odczuwał potrzebę wyładowania się, ale zaraz porzucił tę myśl. Nie miał ochoty na wyjaśnianie sprawy ochroniarzowi, a poza tym obawiał się, co by było, gdyby taka historia przedostała się do mediów. Wystarczyłby jeden fotoreporter i gadatliwy pracownik hotelu chętny do zarobienia paru groszy.

Nie, powiedział sobie, zbierając swoje torby. Załatwi to z nią jutro. Przynął się do drzwi i zawołał:

- Jeszcze nie skończyliśmy, Caitlyn.

Caitlyn nie spała większość nocy, miotając się od rozpaczki do wściekłości. Zastanawiała się, gdzie Jefferson spędza noc, a potem wytłumaczyła sobie, że to nie ma znaczenia. Myślała też, czy za nią tęskni, póki nie przypomniała sobie, że dla Jeffersona Lyona znaczy tyle, co najwyższej jakości kserokopiarka.

Kolczyki, które jej podarował, raziły jej szyję chłodem. Dotykała bransoletki z breloczkiem z deską surfingową i było jej smutno, że tak się to wszystko potoczyło. Że tak jej zależało. Że w ogóle tu przyjechała. Teraz już jest za późno na żałowanie, stwierdziła, patrząc w niebo, na którym zaczynał się różowić świt. I za późno na to, żeby zmieniły się jej uczucia.

- Czy to nie ciekawe?

Jefferson mruknął coś przez sen, po czym otworzył oczy i natychmiast je zmrużył, patrząc na wschodzące słońce. Obok plażowej leżanki, na której spędził noc, stał jakiś mężczyzna. W tym oświetleniu trudno było zobaczyć więcej niż sylwetkę, ale po chwili, gdy rozpoznał twarz mężczyzny, wiedział, że sprawa wygląda coraz gorzej.

- Co tu, do cholery, robisz?

Max Striver roześmiał się od ucha do ucha, wsunął ręce w kieszenie spodni i zakołysał się na piętach.

- Po pierwsze, podziwiam widok - powiedział radośnie. - Wielki Lyon spędzający noc na leżaku.

No, super. Nie dosyć, że spał pewnie w sumie piętnaście minut na tym miejscu tortur, nie dosyć, że wciąż miał przed oczami twarz Caitlyn, w której oczach malowały się rozczarowanie i gniew, to jeszcze musiało go po obudzeniu spotkać coś takiego.

- To jest leżanka - wyjaśnił mało wyraźnym mruknięciem.

- O, to przepraszam.

Jefferson jęknął, zwlekając się z posłania. Wszystko go bolało. Leżanka była za wąska, za krótka, ze skłębionym materacem, a w środku nocy było całkiem zimno. Co to za tropikalna pogoda?

- Jeżeli masz stać - powiedział Jefferson - to stań gdzie indziej.

- To tak się wita starego przyjaciela? Zwłaszcza - dodał Max - że chyba będzie ci potrzebny.

Poczuł się bardzo staro. Krzywiąc się, Jefferson pokręcił głową i usłyszał chrupnięcie. Pewnie przez parę dni będzie skrecony jak precel, a wszystko dlatego, że Caitlyn była taka nierozsądna.

Unosząc wzrok, spytał Maksa:

- A ty co tu robisz?

- Wyobraź sobie - odparł Max, z uśmiechem spoglądając na basen - że ja też poczułem potrzebę wakacji.

Kurort powoli budził się do życia. Personel z porannej zmiany zaczynał się kręcić wokół basenu, czyścić, ustawiać i przygotowywać do kolejnego pracowitego dnia w raj. Jefferson poczuł dochodzący skądś zapach świeżo zaparzonej kawy. Ale nim się do niej dostanie, musi się pozbyć Maksa.

- Wakacje, akurat. I musiałeś przyjechać właśnie tutaj?

- Jak widać, najlepsi ludzie tu przyjeżdżają. - Max przesunął czubkiem buta jedną z walizek Jeffersona. - I co, mamy kłopoty ze znalezieniem pokoju?

- Nie jestem w nastroju, Max.

- Gdybyś był - zapewnił go z uśmiechem - nie byłoby to takie zabawne.

Jefferson zwłóknął się z leżanki i przez chwilę miał ochotę wepchnąć to urządzenie do basenu, na złość. Czuł się jak idiota, śpiąc obok basenu, a jeszcze gorzej, że odkrył to jego najstarszy „przyjaciel”.

Mimo współzawodnictwa, istniała zawsze między nimi jakaś nić przyjaźni. Wynikało to może z podobieństwa środowisk, z jakich się wywodzili. Obaj byli najstarszymi synami w bogatych rodzinach. Obaj mieli przejąć rodzinne firmy. I przynajmniej tu mogli się porozumieć. Jednak całymi latami więcej się kłócili i konkurowali z sobą, niż spędzali razem czas. Teraz na pewno nie był na to dobry moment.

- Wyglądasz koszmarnie - poinformował go Max, wciąż tak zadowolony z siebie, że Jefferson rozważał, czy przypadkiem jego nie wrzucić do basenu.

- Dzięki za aktualności i za to, że wpadłeś.

Wepchnął koszulę w spodnie, przeczesał włosy palcami i popatrzył na Maksa tak, jakby chciał go zahipnotyzować, żeby go zostawił w spokoju.

Oczywiście nic to nie dało.

- Nie bardzo się układa z naszą Caitlyn, co?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Oczywiście, że wiesz. - Max zaśmiał się i wskazał wzrokiem na walizki.

- Po tych paru latach zawodzi już twoja technika podrywania?

- Co to ma znaczyć?

- To znaczy, że cię znam, Jefferson. Caitlyn rzuciła pracę, a ty za nią tutaj przyjechałeś. To oznacza tylko jedno. - Uśmiechając się, Max dokończył: -

Postanowiłeś ją uwieść, żeby odzyskać. A z tego, co widać, poszło ci kiepsko.

Oczywistość tych faktów była cholernie irytująca.

- Lepiej trzymaj się od tego z daleka, Max - wycodził Jefferson.

- Nie sędzę. Widzisz, po tym, jak Caitlyn pozbyła się ciebie, będzie gotowa na mężczyznę, który widzi w niej nie tylko sprzęt biurowy.

To zabolalo. Nie dlatego, że powiedział to Max, ale dlatego, że była to prawda. Tak traktował Caitlyn latami. Ale to jej własna wina. Była taka sprawna, zawsze można jej było zaufać, zawsze na niej polegać. Czy można mieć do niego pretensje o to, że próbował wszystkiego, by zatrzymać to, na co zawsze mógł liczyć?

- A kiedy skończę jej współczuć z powodu twojego bezwstydnego zachowania wobec niej - mówił Max - znów jej zaoferuję pracę. Uwierz mi, że wiem, jak traktować cennego pracownika.

Opanowała go wściekłość.

- Trzymaj się z daleka od Caitlyn.

- Nie masz żadnego prawa wydawać mi rozkazów, Jefferson. Myślę, że najważniejsze teraz dla ciebie powinno być znalezienie pokoju.

- Nie martw się o mnie.

- Nie mam zamiaru.

Zadowolony z siebie palant, pomyślał Jefferson i nagle uderzyło go, jak bardzo był do niego podobny. Czy nie przyjechał tu przekonany, że z powrotem zdobędzie Caitlyn za pomocą kilku sztuczek i prezencików? Nie, są zupełnie inni, uspokoił się, niezbyt przekonany.

- Wiesz co - zagaił Max. - Czeka na mnie luksusowy apartament, jeżeli chcesz się odświeżyć. - Znów się uśmiechnął. - Nie? W porządku.

- Zabawny z ciebie facet, Max. - Jefferson schylił się, żeby zabrać torby. - Ale wiesz co? Nie bierze mnie twój humor.

- Gdyby cię brał, to ja bym się tak dobrze nie bawił.

- Tak? To szukaj rozrywki gdzie indziej.

Jefferson przeszedł obok niego, minął teren basenu i ruszył w stronę recepcji i, być może, pokoju. Gdy dochodził do drzwi, usłyszał głos Maksa:

- Chyba pójdę odwiedzić Caitlyn, wiesz? Śmiech przyjaciela ścigał go aż do recepcji.

Późnym popołudniem Caitlyn była gotowa chodzić po ścianach swojego apartamentu. Zamknęła się w nim poprzedniej nocy i nie wychodziła, żeby się nie natknąć na Jeffersona, ale nie była już w stanie dłużej znosić samotności. Nie mogła spać, nie miała nic do czytania, a nie interesowały ją filmy, które można było obejrzeć w pokoju.

Poza tym, pomyślała, siadając na krześle, które jej podsunął Max Striver, dlaczego to ona ma się ukrywać? Przecież to jej wakacje, na które wcale nie zapraszała Jeffersona.

- Mam nadzieję, że to lodowate spojrzenie przeznaczone jest dla Jeffersona, a nie dla mnie? - spytał Max, siadając naprzeciw niej.

Uśmiechnęła się do cudownego Anglika i wciąż nie mogła się nadziwić, skąd się tu wziął.

- Co ty tu robisz, Max? - spytała.

- Dlaczego wszyscy mnie o to pytają? - Uśmiechnął się, po czym wziął karty, które podała mu kelnerka. Wręczył jedno menu Caitlyn. - W tej chwili jestem na obiedzie z fascynującą kobietą. To już wystarczający powód mojej obecności.

- Może dla kogoś innego - stwierdziła Caitlyn, przeglądając elegancko napisane menu. Nie mogła znaleźć niczego, na co miała ochotę. Żołądek miała ściśnięty, ale coś powinna zjeść. Sałatka wydała jej się najodpowiedniejsza. - Ale ja cię znam.

Uniósł jedną ciemną brew, uśmiechając się.

- Więc cię nie nabiorę?

- Nie. - Szkoda, że Jefferson tego nie rozumiał. Kelnerka, uśmiechając się promiennie do Maksa i nie zauważając jego towarzyszkę, przyjęła ich zamówienie, a Caitlyn spytała:

- Więc może mi powiesz, co kombinujesz?

- No, więc dobrze. - Oparł łokcie na stoliku. - Przyjechałem, żeby cię przekonać do pracy u mnie.

- Max...

- Wysłuchaj mnie.

Skinęła głową, ale wcale jej to nie interesowało. Musiałaby się przeprowadzić do Londynu, z dala od swojego domu, przyjaciół. A co gorsza, jako asystentka Maksa i tak miałyby czasami do czynienia z Jeffersonem. Nie, to się nie sprawdzi. Musi zerwać zupełnie. Zacząć nowe życie.

- Mam dla ciebie bardzo dobrą propozycję. - Max tłumaczył spokojnie jak rodzic upartemu dziecku. - Nie tylko znaczącą podwyżkę w stosunku do tego co, jak sądzę, płaci ci Jefferson, ale bardziej różnorodną pracę. Jak wiesz, Striver Industries zajmuje się nie tylko transportem morskim, ale również hotelami i różnymi technologiami, i paroma innymi interesującymi sprawami.

- Brzmi ciekawie, ale...

- Chwileczkę - przerwał Max. - Nie odrzucaj mojej oferty, póki jej nie przemyślisz. To mogłaby być dla nas obojga bardzo owocna współpraca.

- Co mogłoby być? - Przy ich stoliku pojawił się Jefferson, który zmierzył Caitlyn lodowatym spojrzeniem.

- Jefferson - powitał go cichym głosem Max. - Wyglądasz znacznie lepiej. Znalazłeś pokój?

- Tak. - Nie spuszczał wzroku z Caitlyn. - Dlaczego tu z nim jesteś?

- Jestem na obiedzie. Z bardzo miłym mężczyzną.

- A ty, mój przyjacielu - przypomniał mu Max - nie byłeś zaproszony.

Jefferson go ignorował. Przystawił sobie krzeselko i usiadł przy stoliku, wciąż się wpatrując w Caitlyn.

Spojrzała na niego i serce jej się ścisnęło. Wyglądał, jakby też nie spał przez większość nocy. Usta miał ponuro zaciśnięte, a dłoń leżąca na stoliku zaciśnięta była w pięść. Wyglądał strasznie, a jednak wszystko w niej zaczynało

topnieć. Czy zawsze już tak będzie? Miała nadzieję, że nie, bo nie chciałyby przeżyć reszty życia w bólu.

Jedno jest pewne: to uczucie potwierdzało konieczność zerwania wszelkich kontaktów z Jeffersonem.

- Caitlyn - zaczął, przepędzając kelnerkę, która mu przyniosła menu.

- Pan nie zostaje - potwierdził Max.

- Porozmawiaj ze mną. - Wciąż się w nią wpatrywał.

- Powiedziała ci wczoraj wieczorem. Wszystko już sobie wyjaśniliśmy - mruknęła i sięgnęła po szklanę z wodą, bo miała zupełnie suche gardło.

- A potem znajduję cię tutaj z Makssem.

- Na prywatnym obiedzie - przypomniał Max.

- Dlaczego tu z nim jesteś?

Dlaczego nagle się poczuła jak niewierna żona? Przecież nic nie jest Jeffersonowi winna. Rzuciła pracę. On próbował ją wykorzystać. Starając się zachować resztki godności, odpowiedziała:

- Jestem tutaj, bo zaoferował mi pracę.

- I to bardzo dobrą - potwierdził Max.

- A ty ją rozważasz? - Jefferson był oburzony.

- Tak. - Kłamstwo przeszło Caitlyn gładko przez gardło.

- Cudownie - ucieszył się Max.

- Nie mówisz poważnie. - Jefferson nachylił się nad nią, jakby patrząc jej w oczy z bliska, mógł prędzej wyczytać z nich prawdę.

- A dlaczego miałabym jej nie przyjąć? - Caitlyn zdjęła z talerza białą serwetkę i powoli układała ją sobie na kolanach. - Jestem bezrobotna, nie pamiętasz?

- Już nie - zauważył Max.

- Nie wtrącaj się, Max. - Jefferson rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Nie, to ty się nie wtrącaj, Jefferson. - Caitlyn wzięła głęboki oddech. -

To nie dotyczy ciebie.

- Bardzo mnie dotyczy. Pracujesz u mnie. Wiesz wszystko, co trzeba o Lyon Shipping. - Błękitne oczy rozbłysnęły ze złości. - Jeśli pójdziesz pracować do konkurencji, nastąpi konflikt interesów.

Caitlyn zdumiała się.

- Chyba mnie w ogóle nie znasz. Myślisz, że mogłabym działać na niekorzyść twojej firmy?

Pokręcił się niepewnie na krześle, ale jego spojrzenie nie złagodniało.

- A co innego mogę myśleć? Max się włączył.

- Jeżeli chcesz znać moje zdanie...

- Max... - Oboje ostrzegająco wypowiedzieli jego imię w tym samym czasie, więc uniósł ręce w przeproszającym geście.

- Grasz w niebezpieczną grę, Caitlyn - mruknął Jefferson, ignorując kelnerkę, która przyniosła ich dania. - Jeżeli jest to jakiś wybieg i próbujesz mnie zmusić do przeprosin, to długo będziesz czekała. Zrobiłem to, co moim zdaniem musiałem. Jak zawsze robię. I zawsze będę robił.

Przeszyło ją zimno i Caitlyn wiedziała, że to już koniec. Fantazji, marzeń, wyobrażeń. Popatrzyła w jego chłodne oczy i zobaczyła przepaść, jaka ich dzieliła. Była tak ogromna, jakby ją miała pochłonąć.

Ostrożnie, jakby była zrobiona ze szkła, wstała, ułożyła serwetkę obok nietkniętego obiadu i popatrzyła na Maksa.

- Przepraszam. Naprawdę nie mogę zostać, ale dziękuję za zaproszenie na obiad.

Max skinął głową i rzucił okiem na Jeffersona, który tego nie zauważył. Caitlyn wzięła torebkę zawieszoną na krześle i posłała Maksowi uśmiech, który ją bardzo wiele kosztował.

- A jeśli idzie o ofertę pracy, to tak, Max, będę u ciebie pracowała.

- Doskonale!

Jefferson zerwał się z krzeselka i spojrzał na nią lodowato.

- Nie możesz tego zrobić.

- Właśnie zrobiłam. Do widzenia, Jeffersonie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jefferson był zaledwie o krok czy dwa za nią, gdy szła przez restaurację, poprzez hol i szerokie drzwi wejściowe. Dogonił ją, gdy wchodziła na trawnik. Schwycił ją za ramię i obrócił, żeby na niego spojrzała. Popatrzył głęboko w jej brązowe oczy i spytał:

- Czy to żart?

Spojrzała na jego rękę, aż w końcu ją puścił i dopiero wtedy uniosła wzrok.

- Ja się nie śmieję.

- O ile zauważyłaś - powiedział z zaciśniętymi zębami - ja też nie.

Jak to wszystko tak szybko poszło w diabły? Jak mógł tak kompletnie stracić panowanie nad sytuacją? Jefferson Lyon nigdy nie przegrywał. I nigdy nie pozwalał, aby kobieta go zostawiła.

A myśl, że Caitlyn mogłaby być pierwszą, sprawiała, że czuł, jakby jakaś zimna ręka zaciskała się na jego gardle. Starał się zapanować nad tym uczuciem i zachować spokój.

Jednak jej zapach otaczał go ze wszystkich stron i wdychał go głęboko, żeby zatrzymać tę część jej.

- Caitlyn - powiedział łagodnie, patrząc, jak bryza znad oceanu unosi jej włosy. - Przecież nie chcesz tego zrobić.

- Ani razu nie powiedziałam, że chciałam tego wszystkiego, Jefferson.

- Więc powstrzymaj to teraz - namawiał, zmuszając się do uśmiechu. - Powiedz Maksowi „nie”. Wróc ze mną do Long Beach.

Westchnęła i ból, który usłyszał w jej głosie, schwycił go za serce.

- Nie mogę teraz z tobą pracować, Jefferson. Nie po tym...

Wiedział, o czym myślała. Było to wypisane na jej twarzy. Żal. Chodziło jej o to, że nie może z nim pracować po tym, jak z nim spała. Więc młodszy braciszek miał jednak rację. To był głupi plan. Teraz już za późno, żeby coś zmienić. A nawet gdyby mógł, nie zrobiłby tego. Nie zrezygnowałby z tego, co wspólnie przeżyli. Stało się to dla niego zbyt ważne.

Teraz była jego kolej na westchnienie. Nic nie przebiegło tak, jak miało. Wkładając ręce do kieszeni, powiedział z uporem:

- Ale to jednak mogłoby działać.

- Oczywiście, że musisz to powiedzieć. - Jeden kącik jej ust powędrował na moment w górę. - Ale to tylko dlatego, że nie możesz się przyznać do przegranej.

- Przyznanie się do przegranej sprawia, że jesteś przegrany.

- Ale nieprzyznawanie się nie zmienia faktów - zauważyła, powoli kręcąc głową.

Przegrywał. Czuł to. Zagrał więc ostatnią kartą.

- Nie zostawiaj mnie dla Maksa, Caitlyn.

- Boże, ty wciąż nic nie rozumiesz. - Zdjęła torebkę z ramienia i zaczęła grzebać w jej czeluściach. - Nie zostawiam cię dla Maksa, Jefferson. Po prostu cię zostawiam.

- Po prostu. Tak sobie. Możesz odejść, nie oglądając się.

- Myślisz, że to dla mnie łatwe? Oczywiście, że będę się oglądać za siebie i będę widziała ciebie. I myślała o tym, co mogłoby być, gdybyś nie był taki głupi i sam to zrozumiał.

Dopadło go zmieszanie połączone ze złością i nieznanym uczuciem przegranej.

- O czym ty teraz mówisz?

Wyjęła z torby mały, starannie złożony woreczek i podała mu. Nie przyjął.

- Widzisz - rzekła - myślałam, że cię ogram w twoją własną grę.

Pomyślałam, że wykorzystam cię tak, jak ty chciałeś wykorzystać mnie.

- Caitlyn...

- Ale jesteś lepszy w tej grze. Znacznie lepszy. Zdołałeś powiedzieć i zrobić wszystko, co należało, tyle że z nieuczciwych powodów. Gra się toczyła i nigdy się nie stała rzeczywistością.

Poczuł ból w sercu, widząc jej wilgotne oczy i chciał jej powiedzieć, jak bardzo się myli. Ale czy naprawdę?

- Problem w tym - ciągnęła, wkładając mu do ręki woreczek - że dla mnie to było naprawdę. Nie chciałam tego, ale tak się stało.

- Co? Co się stało? A co to jest? - Spojrzał na woreczek.

- Biżuteria, którą mi dałeś - odpowiedziała, z trudem się prostując. - Nie mogę jej teraz zatrzymać.

Kolczyki? Naszyjnik z pereł? Srebrna bransoletka? Tak się nimi cieszyła, a teraz wyrzuca? Jakby to było nic? Jakby wspólnie spędzony tydzień to było nic?

- Chciałem, żebyś to miała. Kupowaliśmy je razem. Przygryzła wargę i lekko wzruszyła ramieniem.

- To wszystko jest piękne i bardzo mi się podobało, ale nie brałam udziału w tej grze po to, żebyś mi coś kupował, Jefferson. To nie miało znaczenia. Ale twoje reguły gry są inne. Dajesz prezenty, żebyś nie musiał dawać siebie.

Prawda go Zakłula, ale nie mógł się do tego przyznać. Poza tym przez ostatnie dni dał jej więcej z siebie niż komukolwiek innemu. Nie planował tego, ale tak wyszło.

- Więc niczego ode mnie nie chciałaś. - Pokiwał głową i wsunął tę cholerną biżuterię do kieszeni. - To czego chciałaś? Zemścić się na mnie?

- Z początku, tak - przyznała. Odwróciła wzrok na ukwiecone gazony, w końcu znów spojrzała na niego. - Ale potem zmieniło się to w coś innego, czego ty na pewno nie chciałeś.

- Skąd wiesz? - zapytał i chwycił ją mocno za ramiona, jakby mógł ją zmusić do pozostania, silnie trzymając.

- Bo cię znam, Jefferson. Kiedy powiem, że się w tobie zakochałam, będziesz uciekał, aż się będzie kurzyło.

Zdjął ręce z jej ramion i patrzył na nią, zdumiony.

- Widzisz? - Uśmiechnęła się słabo. - Więc po prostu już idź. Niech to będzie ten jedyny raz, kiedy wielki Jefferson Lyon przegrał bitwę.

Ona go kochała? I mogła go zostawić? Jeżeli tak łatwo można było od niego odejść, to co to za miłość?

- Dobrze, idź sobie. Weź tę pracę u Maksa, przeprowadź się do Anglii. Zapomnij o mnie i o mojej firmie.

- Dla ciebie nie ma nawet fizycznej możliwości, żeby odpuścić. - Odwróciła się od niego i ruszyła przez trawnik. - Więc ja to zrobię dla ciebie. Dwa tygodnie temu przestałam u ciebie pracować, a teraz przestanę cię kochać.

- Tak po prostu?

Przystanąła i spojrzała na niego tymi brązowymi, smutnymi oczami.

- Tak po prostu.

Z drugiej strony trawnika zatrzymała się taksówka i wysiadła z niej wysoka dziewczyna z krótkimi, sterczącymi brązowymi włosami. Spostrzegłszy Caitlyn, uśmiechnęła się i zawołała coś do niej.

- Janine! - Caitlyn z ulgą i radością powitała przyjaciółkę, ale dała jej ręką znak, żeby zaczekała, i odwróciła się znów do Jeffersona.

Nie zwracał uwagi na nowo przybyłą ani na innych gości, tylko wpatrywał się w brązowe oczy. Mimo że się nie ruszała, czuł, że się od niego oddala.

Miłość. Skąd się w tym wzięła miłość? Dlaczego ona to powiedziała? Mówiła to naprawdę? Oczywiście, Caitlyn zawsze mówiła prawdę. Ale jeżeli go kochała, jak mogła tak po prostu przestać? Postanowił podjąć jeszcze jedną desperacką próbę.

- Jeżeli teraz ode mnie odejdiesz i pójdziesz pracować u Maksa, zwolnię Georgię natychmiast po powrocie.

Popatrzyła na niego, jakby go widziała po raz pierwszy.

- Nie wierzę, że to powiedziałaś.

- To uwierz. Zaśmiała się smutno.

- Jak bardzo można się mylić co do człowieka? Znam cię tyle czasu, ale nie podejrzewałam, że jesteś zdolny do takiej podłości. Wiesz co? Rób, co musisz. Ja mam dosyć.

Stojąc samotnie, patrzył, jak ona odchodzi. Objęła przyjaciółkę i weszły do hotelu, nie oglądając się na niego.

I po raz pierwszy w życiu Jefferson Lyon poczuł się jak stuprocentowy palant.

- No, to naprawdę palant - podsumowała Janine.

- Jasne. - Caitlyn, siedząc na łóżku, przytuliła do siebie jedną z poduszek.

- Ale przez prawie dwa tygodnie to był mój palant.

- Do diabła, Deb i ja powinnyśmy były wcześniej tu przyjechać - mruknęła Janine. - Nie należało cię zostawiać samej z Jeffersonem Lyonem na tak długo. Nie mogę uwierzyć, że uprawiałaś z nim seks.

Ona też nie mogła. Przez dwa tygodnie oszukiwała się, że może być blisko z Jeffersonem, nie angażując się emocjonalnie. To był błąd, a jednak pewnie by go powtórzyła.

- Uprawiałam.

- Był dobry? - Caitlyn spojrzała na nią wymownie. - W porządku, oczywiście, że był dobry. - Janine westchnęła dramatycznie. - Jego strata.

- On na pewno tak nie uważa.

- Wiem, kochanie. Ale staraj się o nim nie myśleć. Jutro przyjeżdża Deb i myśl tylko o tym, jak nam razem będzie dobrze w tym supermiejsku.

- Jasne, będzie dobrze - przytaknęła Caitlyn, ale miała wątpliwości. - Jefferson spakował się i wyjechał. Chciał minimalizować straty. Chyba jednak nie wyrzuci Georgii. Jest twardym biznesmenem, ale nie draniem.

- Tak - stwierdziła Janine, otwierając minibar i zamykając z rozczarowaniem. - Potrzebujesz innego mężczyzny. Plażowego osiłka. Nieskomplikowanego seksu.

- Boże - Caitlyn mówiła teraz przez poduszkę. - To ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba.

Janine skoczyła na materac, położyła się obok niej i skrzyżowała ręce na brzuchu.

- Myślę, że strasznie się te twoje wakacje pokomplikowały.

- Nie tylko wakacje - mruknęła Caitlyn.

- A teraz, gdy ten wspaniały wyjechał, zapomnij o tamtym świecie.

- Staram się.

- Tak, zamknięta w swoim pokoju. Dalej, ubieraj się, poderwiemy jakieś ciacha, które mają lepszy wygląd niż rozum.

Caitlyn dziękowała Bogu za taką przyjaciółkę, ale nie była w nastroju na rozrywki, zwłaszcza rodzaju męskiego.

- Dzięki, ale wolę dzisiaj wieczorem posiedzieć w pokoju i się martwić. Ale ty idź, zaszalej. Obiecuję, że jutro pójdziemy razem.

- Jesteś pewna? Bo jeżeli potrzebujesz towarzystwa, to ja zawsze...

- Idź. - Caitlyn naprawdę chciała zostać sama. - Baw się dobrze.

- No dobra, ale pamiętaj, że ten drań nie jest wart ani jednej łzy więcej.

Kiedy drzwi za Janine się zamknęły, Caitlyn przyciągnęła do siebie poduszkę i pozwoliła reszcie łez płynąć do woli.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jefferson nie wyrzucił Georgii. Sama odeszła.

Dwa dni po jego powrocie z Fantazji weszła do jego gabinetu, położyła mu na biurku swoją prośbę o zwolnienie i stanęła, czekając, co powie. Kiedy przeczytał, spojrzał na nią.

- Odchodzisz?

- Zgadza się.

Nie wiedział nawet co powiedzieć. Starał się być wyrozumiały.

Cierpliwy. Czekał, aż Georgia powoli zacznie przejmować obowiązki Caitlyn. Już chciał sobie wręczyć medal za tolerancję na jej błędy. I takie go spotyka podziękowanie? Naprawdę, nie rozumiał kobiet.

- Dlaczego? - zapytał z ciekawości.

- Bo ta robota przestała być zabawna.

- Co? - patrzył, nie rozumiejąc.

Westchnęła, a jej zaciśnięte usta stały się jeszcze węższe.

- Odkąd Caitlyn odeszła, atmosfera w tej firmie jest coraz gorsza. Ciebie nigdy nie ma, a kiedy jesteś, jesteś roztargniony i niegrzeczny.

- Zaraz, zaraz. - Wstał, bo poczuł się jak trzecioklasista besztany przez nauczycielkę.

- Nie jesteś takim człowiekiem jak twój ojciec, Jefferson, a to wielka szkoda. - Poczul gniew, ale powstrzymał się przed komentarzem, głównie dlatego, że miała rację.

- Twój ojciec prowadził firmę i zajmował się rodziną - mówiła, a jej ton zmieniał się z karcącego na rozżalony. - Wiesz, wy z Caitlyn tworzyliście zgrany zespół. Bez niej jesteś rozkojarzony. Może w końcu ci się uda znaleźć równie dobrą asystentkę, ale czy ci się uda znaleźć kobietę, która, znając cię tak dobrze, będzie cię tak kochała?

Jefferson znieruchomiał.

- Nie wiem, o czym mówisz, Georgio, ale...

- Bzdura. - Jefferson zauważył, że po raz pierwszy się nie jąkała ani nie denerwowała. - Jeżeli nie wiesz, że ta dziewczyna cię kocha, to jesteś większym idiotą, niż myślałam, chociaż wydawałoby się to niemożliwe.

- Zaraz, chwileczkę...

- I tak odchodzę, więc mogę powiedzieć, co myślę. Oczywiście, to nie mój interes, ale uważam, że powinieneś się z nią zobaczyć, zanim będzie za późno.

Jefferson nie mógł złapać tchu. Tak było, odkąd wyjechał z wyspy. Nie mógł się skoncentrować w pracy, nie znajdował też spokoju w domu. Nie było miejsca, w którym nie widziałby wpatrzonych w siebie dużych, brązowych oczu Caitlyn. Nie mógł spać, bo o niej myślał. Nie mógł myśleć, bo słyszał jej głos. Nie mógł oddychać, bo czuł jej zapach.

Przypomniawszy sobie, jak po raz ostatni kazała mu odejść i spojrzawszy na stojącą przed nim kobietę, zawyrokował:

- Już jest za późno. Georgia uśmiechnęła się.

- Nigdy nie jest za późno, żeby pójść po rozum do głowy, Jefferson.

Kiedy wyszła, obrócił się do okna za swoim biurkiem i spojrzał na ocean, ale nie zobaczył portu, tylko szmaragdowe fale, w które wskakiwała Caitlyn. Usłyszał jej śmiech, poczuł jej ręce na swojej skórze i pustkę w sercu.

Czy to była miłość? Prawdziwa miłość? Nie spodziewał się tego. Nie spodziewał się, że jest do niej zdolny. Caitlyn stała się tak istotną częścią jego życia, że uważał, że zawsze będzie. Dopiero teraz, kiedy jej nie ma, zobaczył, jaka była ważna.

Nie jest za późno, tak? Sięgnął do sejfu, w którym schował woreczek z biżuterią, który Caitlyn mu oddała. Wysypał zawartość na biurko. Kolczyki migotały w słońcu, a naszyjnik z pereł błyszczał, jakby się w nim ukryły promienie księżyca. Nie było bransoletki z wisiorkiem w kształcie deski

surfingowej. Zatrzymała ją. Może Georgia miała rację. Może jeszcze nie jest za późno.

- Niewiarygodne - stwierdziła Debbie i wypła łyk tropikalnego drinka. - Dlaczego nie zrobiliśmy tego już dawno? Czuję się naprawdę dopieszczona.

Wszystkie trzy leżały wyciągnięte na kwiecistych leżakach, słońko grzało, napoje chłodziły i ogólnie świat był piękny. To znaczy ich świat, pomyślała Caitlyn. Jej niekoniecznie. Słuchała ich opowieści i dobrze się czuła wśród kochających przyjaciółek. I nie myślała o Jeffersonie od - sprawdziła na zegarku - pięciu minut. To już postęp. Będzie lepiej każdego dnia, aż może w końcu się przekona, że go wcale nie kochała. Po prostu zadziałała namiętność i otoczenie.

- Chciałam powiedzieć - ciągnęła Debbie - że dobrze jest po prostu być.

- O, odzywa się zen - zaśmiała się Janine, sięgając po drinka. Spojrzała na Caitlyn. - Jak leci?

- W porządku. Naprawdę, wspaniale.

- Hej, Cait. - Debbie usiadła i spojrzała na nią. - Wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale musisz iść dalej, kochana. Tylu jest tu facetów do poderwania.

- Nie, dziękuję. - Żaden nie mógł się z nim równać, więc po co udawać? - Robię sobie wakacje od mężczyzn, ale ty się nie krępuj, Deb.

- No, mojego wam nie odpalę - westchnęła Janine.

- Znowu się z nim widziałaś wczoraj wieczorem, tak? - spytała Debbie. - Pan Tajemniczy.

- Powiedz nam chociaż, jak mu na imię - dodała Caitlyn.

- Nie wiem - wyznała Janine. - Ale wiecie, tak jest nawet romantyczniej, że nie znamy swoich imion...

- Caitlyn?

Głęboki głos przeszył powietrze, przebiegł wzdłuż jej grzbietu i włączył elektryczność w krwiobiegu. Czy to halucynacje? Nie, świadczyły o tym spojrzenia Janine i Debbie. Obie były gotowe zanurzyć kogoś w smole i wytarzać w pierzu.

Powoli Caitlyn obróciła głowę i spojrzała na mężczyznę stojącego u stóp jej leżaka.

- Jefferson?

- No, nie... - zaczęła Janine.

- Nie jest pan tu mile widziany - dodała Debbie.

Nawet na nie nie spojrzał. Jego wzrok utkwiony był w Caitlyn, a ona czuła, jakby płomienie dotykały jej skóry.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział cicho.

To nie w porządku. Właśnie wtedy, gdy ona się stara o nim zapomnieć, on przyjeżdża i wszystko jej utrudnia.

- Dlaczego wróciłeś? - spytała piskliwym głosem i sama się skrzywiła, słysząc ten dźwięk.

- Musiałem się z tobą zobaczyć.

- Cait... - odezwała się Janine, zaniepokojona.

- W porządku - odpowiedziała i wstała, czując pod stopami chłód posadzki na patiu. Wzięła jasnozieloną narzutkę i włożyła na kostium kąpielowy. Oderwała od niego wzrok, by spojrzeć na obie przyjaciółki i zapewnić: - Nic mi nie będzie.

Jefferson czuł na sobie spojrzenie obu dziewczyn, gdy wyprowadzał Caitlyn obok basenu, w kierunku plaży. Wcale im się nie dziwił. Potraktował Caitlyn okropnie i wiedział, co o nim myślą. Ale jeśli da mu szansę, postara się wszystko naprawić.

- Twoje przyjaciółki mnie nienawidzą.

- Bo to moje lojalne przyjaciółki.

- Rozumiem. A ty? - spytał. Idąc obok niej, czuł jej ciepło. - Ty też mnie nienawidzisz?

- Nie - odpowiedziała zmęczonym głosem. - Nie nienawidzę cię, ale chciałabym wiedzieć, dlaczego tu przyjechałeś.

- Pragnę cię.

- Dosyć udawania.

Zatrzymała się w miejscu, gdzie się kończył zadbane ogród, a zaczynał piasek. Wiatr powiał i zasłonił jej oczy włosami, ale odgarnęła je z czoła lewą ręką.

Jefferson przytrzymał jej rękę i pogładził kciukiem srebrną bransoletkę z breloczkiem - deską surfingową.

- Tak. - Uśmiechnął się, widząc, że wciąż ją nosi. A więc coś dla niej znaczyła. - Dostyć udawania. Zatrzymałaś ją.

Zawstydzona, wyrwała rękę i spuściła wzrok.

- Zapomniałam o niej - skłamała. - Miałam zamiar ci ją odesłać...

- Nie, nie miałaś.

- Masz rację - westchnęła. - Nie miałam. Czy dlatego przyjechałeś? Po bransoletkę?

Teraz, gdy już tu był, Jefferson nie mógł wymyślić, co należałoby powiedzieć. Miał kilka godzin podczas podróży swoim prywatnym samolotem, żeby sobie ułożyć odpowiednią przemowę, ale teraz pamiętał tylko dwa słowa:

- Kocham cię.

Zamrugnęła i ze zdumienia otworzyła usta. Roześmiał się, widząc jej zdziwienie. Jak dobrze było znów się śmiać.

- Kocham cię. Wiem, że nie masz żadnego powodu, żeby mi wierzyć, ale jeszcze nigdy tego nie powiedziałem, Caitlyn. Żadnej kobiecie.

- O Boże...

Cofnęła się, ale nie pozwolił jej się bardziej oddalić i natychmiast położył rękę na jej ramionach.

- Te słowa są zbyt ważne, żeby je rzucać na wiatr. Przystają wtedy cokolwiek znaczyć, więc pilnowałem, żeby ich nie używać. - Jej oczy zwilgotniały, ale opanowała łzy. Był jej za to bardzo wdzięczny, bo nie zniósłby, żeby znów przez niego płakała. - Nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki nie wróciłem do domu. - Dotknął dłońmi jej twarzy. - Myślałem, że

wrócę i wszystko będzie jak przedtem. Ale ciebie nie było i nic nie było, jak trzeba.

- Nie mów...

Spieszył się, mając nadzieję, że mu uwierzy.

- Nie mogłem się już zatopić w pracy. Nie chodziło o twoją pomoc, tylko o to, że cię nie było przy mnie każdego ranka. Nie słyszałem twojego głosu, twojego śmiechu; Stałaś się częścią mojego życia, Caitlyn, i kiedy cię zabrakło, wszystko straciło sens..

- Jefferson, nie mów tego, jeżeli nie...

- Kocham cię. - Powtórzył te najważniejsze słowa, żeby się upewnić, że zrozumiała. - Nie wiedziałem, że mogę czuć coś takiego, ale nie mogę być bez ciebie, Caitlyn. Nie chcę żyć bez ciebie. - Spadła jedna łza, potem druga, a on je otarł delikatnie. - Kochaj i ty mnie, Caitlyn, i pozwól mi kochać ciebie.

Przysięgam, że nigdy już nie dam ci powodu do płaczu.

Zaśmiała się krótko, bezradnie.

- Nie wiem, co mam z tobą zrobić.

- Po prostu mi przebac, że byłem takim idiotą. Daj mi szansę, żebym ci mógł udowodnić, jak bardzo cię kocham.

- Kocham cię - wyjąkała cicho, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co się działo.

- Wyjdź za mnie - szepnął. - Wyjdź za mnie dzisiaj. Jutro.

Skinąwszy głową, odpowiedziała:

- Wyjdę za ciebie. Dzisiaj. Jutro. Kiedy zechcesz.

Przyciągnął ją do siebie i objął, a ona, słysząc bicie jego serca, pomyślała, jak dobrze, że jej marzenie spełniło się właśnie w miejscu zwanym Fantazja.

